

# ZA DUZO Kobiet



ZYGMUNT ZEYDLER-ZBOROWSKI

*Stwierdzenie*



**Stwierdzenie**

rok 1986 - nr.122-125

**ZYGMUNT ZEYDLER-ZBOROWSKI**

**ZA DUŻO KOBIET**

## Rozdział I

Przytuliła się do jego pleców.

- Dlaczego tak pędzisz? Dokąd się tak spieszysz? Możemy tutaj rozłożyć obozowisko.

Zwolnił i zjechał na wąską leśną drogę. Ustawił motor pod sosną i zdjął kask. Nagrzane powietrze pachniało żywicą. Słońce przez liście młodych brzoź zraszało swym złotym deszczem trawy i mchy.

- Jak tu pięknie - powiedziała cicho. - Cudownie. Ubóstwiam las w takie słoneczne, letnie popołudnie. Zabrał się do odwiązywania z bagażnika torby z zapasami żywności, a Anka wyruszyła na poszukiwanie jagód.

- Jezus Maria!

Rzucił torbę i pobiegł za dziewczyną.

- Co się stało?

- Patrz! Tam..! Tam..!

Leżał wśród gęstych krzaków paproci. W pierwszej chwili można go było nie dostrzec, gdyby nie sterczące brązowe buty, starannie wyczyszczone.

- Pijany?

- Coś ty, Romek? Nie żyje. Nie widzisz? To trup.

- Chodź. Zmywamy się stąd. Chodź, chodź, nie gap się.

- Co masz zamiar zrobić?

- Wracamy do Warszawy. Odechciało mi się tej całej wycieczki.

- Musimy zawiadomić milicję.

- Jeszcze czego. Żeby powiedzieli, że ja go ciućknąłem.

- Skąd wiesz, że ktoś go zamordował? Może serce.

- Jakie serce? Nie widzisz krwi?

Anka podeszła bliżej.

- Rzeczywiście. Krew. Chyba nożem.

No, chodźże już. Nie mamy tu nic do roboty.

Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie, Romek. Nie możemy tak tego zostawić. Musimy

zawiadomić milicję.

- Koniecznie chcesz się w to pakować? Czy ty sobie wyobrażasz ile będziemy mieli przykrości, ile czasu stracimy na różne przesłuchania?

- Chyba nie boisz się milicji?

- Oszalałaś? Nikogo się nie boję. Nie chcę tylko mieć kłopotów. Leżał w tych krzakach, a że my zupełnie przypadkowo... Wracajmy i w ogóle przestańmy o tym myśleć. Co nas to wreszcie obchodzi? Facetowi już nie pomożemy, a sami wpakujemy się w paskudną historię.

- Nie, Romek. Tak nie można. W każdym razie ja się absolutnie na to nie zgadzam. Jeżeli ty nie zawiadomisz milicji, to ja to zrobię. A wtedy twoja sytuacja będzie trochę głupia. Jak ci się zdaje?

Niechętnie wzruszył ramionami.

- No dobra już, dobra. Jak tak koniecznie chcesz, to jedziemy na milicję.

\*

Porucznik Kozera od niedawna pracował w Wydziale Zabójstw i czekał na okazję, żeby móc się wykazać swoją wiedzą fachową, zdobytą na kilkuletnich studiach.

Z ogromnym też zapalem zabrał się do pracy, w której dopomagał mu stary, doświadczony praktyk - sierżant Wolniak. Widział on już niejednego trupa i od lat był otrzaskany z najrozmaitszymi zbrodniami. Nielatwo go było zadziwić czy też wyprowadzić z równowagi.

- Ostрым narzędziem przebito komorę serca - powiedział lekarz, po dokonaniu powierzchownej obdukcji zwłok.

- Nóż?

Lekarz z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Nie wygląda mi to na nóż. Sekcja oczywiście dokładnie wykaże, ale tak na pierwszy rzut oka...

- Co pan ma na myśli?

- Wie pan co, poruczniku? Zaryzykowałbym twierdzenie, że zabójstwa dokonano nożyczkami.

- Nożyczkami?

- Tak. A raczej dużymi nożycami, takimi jakich używają

krawcy.

- To bardzo interesujące - powiedział Kozera i zamyślił się.

- Jak pan ocenia czas zgonu?

- Zwłoki leżą tu mniej więcej od czterdziestu ośmiu godzin.

Nie dłużej. Miejsce jest zacienione. To trzeba brać pod uwagę. Wśród tych paproci rozkład nie nastąpił zbyt szybko.

Kozera zamienił jeszcze kilka słów z lekarzem, a następnie zwrócił się do sierżanta, który właśnie zbliżył się i wycierał zapiaszczone dłonie o spodnie.

- No i jak?

- Słabo, obywatelu poruczniku. Żadnych dokumentów.

- Będą trudności z identyfikacją.

- Ano, na to wychodzi.

- Dokładnie przeszukaliście kieszenie?

- Ma się rozumieć. Nic ciekawego. Trochę osobistych drobiazgów, grzebień, scyzoryk, pilnik, trochę forsy luzem, długopis i kilka guzików.

- Jakie to guziki?

- Takie zwyczajne, od spodni.

- Żadnego notesu, notatek?

- Nic z tych rzeczy. Ani notesu, ani notatek, ani pugilaresu.

Garnitur bardzo przyzwoity, koszula i krawat w najlepszym gatunku i buty pierwsza klasa, chyba zagraniczne.

- Tak. Chyba zagraniczne - pokiwał głową Kozera.

-Wszystko to dokładnie sprawdzimy. Tu obok, na tej leśnej drodze, zauważyłem trochę gliny. Ślady bieżnika są dosyć wyraźne. Trzeba zrobić odlewy. I jeszcze jedna sprawa. Można by porobić zdjęcia denata. Dalibyśmy je do prasy i telewizji. Może ktoś by go poznał.

Sierżant skrzywił się.

- Wątpię, obywatelu poruczniku, żeby to coś dało. Zmieniony. Jednak już tu jakiś czas leży, a ciepłutko.

W zimie to co innego. Ciekawe, kto go tak załatwił.

- Ba. Ja także chciałbym to wiedzieć - uśmiechnął się Kozera. - Lekarz twierdzi, że prawdopodobnie morderca użył krawieckich nożyc. Zdaje się, że będziemy musieli rozejrzeć się wśród krawców.

- Nietypowe narzędzie zbrodni - powiedział Wolniak i zapalił papierosa. - Może rzeczywiście krawiec mu tak dosunął, a może facet chciał nam zasugerować, że to krawiec.

Kozera spojrział z zainteresowaniem na sierżanta.

- Niewykluczone.

\*

Okazało się, że mimo wątpliwości sierżanta Wolniaka, fachowcy od preparowania nieboszczyków upiększyli znalezionego wśród paproci trupa tak znakomitym makijażem, że można było porobić kilka zdjęć w różnych ujęciach. Najlepsze odbitki przesłano do dziennika telewizyjnego oraz do prasy, z odpowiednim komentarzem.

Na rezultat nie czekano długo. Już po dwóch dniach zgłosił się do komendy kierownik spółdzielni krawieckiej. Kozera przez dłuższą chwilę przyglądał się mocno zarysowanej, kwadratowej twarzy. Starannie zapisał nazwisko, adres spółdzielni i adres prywatny. Następnie odłożył długopis i chrząknął.

- Więc pan twierdzi, że rozpoznał pan pracownika waszej spółdzielni.

Zagadnięty poprawił się na krześle, które niepokojąco zatrzeszczało pod znaczną nadwagą mistrza krawieckiego.

- Jak raz włączyłem telewizor, panie poruczniku. Patrzą i oczom nie wierzę, Kazia pokazują.

Kozera pochylił się nad biurkiem i marszcząc brwi spojrział energicznie w wąskie, trochę skośne oczy swojego rozmówcy.

- Proszę się dobrze zastanowić, panie Siewicki. Sprawa jest bardzo poważna. Czy pan rzeczywiście rozpoznał Kazimierza Bednarskiego? Czy jest pan zupełnie pewien? Kierownik spółdzielni krawieckiej stracił swą początkową pewność siebie. Dłonią przeciągnął po krótko przystrzyżonych wąsach.

- No cóż... Jakby tu powiedzieć? Na sto procent oczywiście nie przysięgnę, ale wydaje mi się... Chyba, żeby ktoś był bardzo podobny...

- Czy Bednarski regularnie przychodził do pracy?

- Właśnie, panie poruczniku, że ostatnio... Normalnie był bardzo obowiązkowy. Ale ostatnio przez parę dni nie przyszedł

w ogóle do pracy. Nawet żeśmy się trochę niepokoiili. Posłałem wczoraj do niego Marciniaka, żeby się dowiedział czy nie chory. Ale wrócił z niczym. Nikogo nie zastał. Sąsiedzi także nie umieli powiedzieć. Zdziwiło mnie to trochę, bo Kazio był bardzo solidny i gdyby gdzieś wyjeżdżał, to by się zwolnił z pracy, a nie tak bez słowa. Ale sobie pomyślałem, że może gdzieś się zawieruszył z jakąś dziewczyną. Dopiero jak wczoraj w telewizji zobaczyłem to zdjęcie...

- Czy Bednarski sam mieszkał?

- Sam. Nie był żonaty. Nawet się dziwiłem, że się nie ożenił, bo przystojny mężczyzna. Ale jak go pytałem, to mówił, że ma czas, że mu się nie spieszy. Miał już koło trzydziestki. Wiek taki w sam raz do żeniaczki.

- Czy był dobrym fachowcem w swoim zawodzie?

Siewicki skrzywił się.

- E, tak sobie. Nie za bardzo. Do krojenia specjalnego drygu nie miał. Dawałem mu zwykle taką wykończeniową robotę, albo jakieś przeróbki, spodnie zwęzić, rękawy przedłużyć. Ale muszę przyznać, że pracownikiem był solidnym, można było na nim polegać. Jak mu coś zleciłem, to wykonał pierwszorzędnie.

- No dobrze. - Kozera zamknął teczkę z aktami i wsunął ją do szuflady biurka. - Przykro mi, że zabieram panu tyle czasu, ale będzie pan musiał pojechać ze mną do kostnicy.

- Do kostnicy? - zaniepokoił się kierownik spółdzielni.

- A to po co?

- Trzeba bez żadnych wątpliwości zidentyfikować zwłoki. To zdjęcie, które pan widział w telewizji, nie było zbyt dokładne. Nie mogę prowadzić dochodzenia nie mając stuprocentowej pewności, że rzeczywiście znaleźliśmy zwłoki Kazimierza Bednarskiego. Chyba pan rozumie.

- Rozumiem. No cóż... mówi się trudno, pojedę do tej kostnicy, chociaż nie lubię oglądać trupów.

W kostnicy identyfikację zwłok załatwili błyskawicznie. Siewicki nie miał ani chwili wahania.

- Tak, panie poruczniku, to Kazik. Nawet i ten tatuaż na lewym ręku. Ale i bez tego bym go rozpoznał. Szkoda chłopaka.

- Wyjął z kieszeni chustkę i wytarł spocone czoło. Dolna warga

lekką mu drżała. Starał się panować nad sobą, ale widać było, że to dla niego duży wstrząs.

Kozera z powrotem zabrał go do komendy. Tym razem przesłuchanie miało charakter bardziej szczegółowy. Na głowę kierownika spółdzielni krawieckiej spadł taki deszcz pytań, że z trudem nadażał odpowiadać. Kozera celowo nadał rozmowie takie tempo, pragnąc się przekonać, czy niektóre odpowiedzi nie będą sprzeczne z poprzednimi i czy jego rozmówca nie usiłuje czegoś ukryć.

Siewicki jednak dawał odpowiedzi rzeczowe i nic nie wskazywało na to, że pośrednio czy też bezpośrednio może mieć jakiś związek z popełnioną zbrodnią. Ale w gruncie rzeczy niewiele miał do powiedzenia na temat Kazimierza Bednarskiego. Powtarzał w kółko, że był to solidny pracownik, cichy, spokojny, nie pił, w każdym razie nigdy do pracy nie przyszedł po wódce, żył w zgodzie z kolegami, nikomu się nie naraził, chyba jedynie temu Małeckiemu.

- Kto to jest Małecki? - spytał Kozera.

- Jeden z naszych pracowników.

- A dlaczego pan twierdzi, że Bednarski naraził się Małeckiemu?

- Mówili, że żona Małeckiego zakochała się w Kaziu. Ale czy to prawda? Nie wiem. Nie mam czasu zajmować się takimi sprawami.

- Dawno pan o tym słyszał?

- A, będzie chyba z rok. Nie pamiętam.

- Był pan kiedyś u Bednarskiego w mieszkaniu?

Siewicki potrząsnął głową.

- Nie, nigdy u niego nie byłem. A po co? Nie utrzymywałem przecież z nim towarzyskich stosunków.

- Czy Bednarski miał jakąś rodzinę?

- Zdaje się, że miał siostrę, ale nigdy jej nie widziałem.

Aha. Miał też brata w RfN.

- Jeździł do niego?

- O ile sobie przypominam, to był tam ze dwa razy.

- Kiedy?

- Dobrze nie pamiętam. Ale chyba ze dwa lata temu i w



zeszłym roku. Pojechał, ma się rozumieć, na zaproszenie.

- Opowiadał coś o tych podróżach?

- Nic specjalnego. Mówił tylko, że się Niemcom dobrze żyje, że bogaty kraj.

Kozera zamyślił się. Zapalił papierosa i tak długo trzymał zapalną, aż mu sparzyła palce.

- Niech mi pan powie jeszcze, panie Siewicki, czy w ostatnich czasach nie zginęły u was krawieckie nożyczki?

- Skąd pan wie? - zdumiał się kierownik spółdzielni.

Kozera leciutko się uśmiechnął.

- Więc jednak zginęły nożyczki, a raczej nożyce?

Siewicki skinął głową.

- Rzeczywiście. Zginęły nożyce. Przeszukaliśmy całą pracownię. Ani śladu.

- Co się z nimi mogło stać?

- Nie mam pojęcia.

- Ktoś je ukradł.

- Na to wychodzi. Ale kto? Nie podejrzewam żadnego z naszych pracowników. Szkoda mi tych nożyc, bo były bardzo dobre, a teraz o każdą rzecz trudno.

- Chyba nie zabrał ich jakiś klient.

Siewicki roześmiał się.

- Ale skąd, panie poruczniku. Klienci nie mają u nas do czynienia z nożycami. Do pomieszczenia, w którym się kroi, klient nie wchodzi.

- To rzeczywiście dziwna sprawa.

- Dziwna, panie poruczniku, bardzo dziwna. W głowę zachodzę co się mogło stać z tymi nożycami.

Kozera zgasił niewypalonego papierosa w popielnicze. Ostatnio dużo palił i czuł nieprzyjemną gorycz w ustach. Nalał z karafki trochę wody do szklanki.

- Może i pan się napije? - zaproponował.

- Bardzo chętnie - zgodził się Siewicki. - Faktycznie, że mi już trochę w gardle zaschło.

- Już zaraz skończymy naszą rozmowę - pocieszył go Kozera.

- Niech mi pan jeszcze powie, czy Bednarskiego odwiedzały w pracowni jakieś kobiety?

- Tylko telefonowały, ale żeby która przysłała, to nie.

W każdym razie ja żadnej nie widziałem.

- Pan odbierał te telefony do Bednarskiego?

- Zdarzało się.

- Jakie to były głosy?

- Kobiece, ma się rozumieć.

- Chodzi mi o to, czy były to głosy młodych dziewczyn, czy starszych kobiet.

- Raczej młode dziewczyny telefonowały. Ze starszkami przecież Kazio nie flirtował. Zresztą tak przez telefon trudno rozróżnić ile kto ma lat.

- To prawda - zgodził się Kozera. - A czy telefonował kiedyś do Bednarskiego jakiś mężczyzna.

- Nie przypominam sobie.

- Czy pan często w czasie pracy wychodzi ze spółdzielni?

- Staram się jak najrzadziej, ale czasem jest coś do załatwienia na mieście, jakieś sprawy urzędowe...

- Więc nie można wykluczyć, że w czasie pańskiej nieobecności ktoś telefonował do Bednarskiego?

- Oczywiście, że nie można. Mogło się tak zdarzyć.

- Niech mi pan jeszcze powie jak Bednarski stał finansowo?

- Właśnie, panie poruczniku - ożywił się Siewicki. - To mnie zastanawiało, że Kazik zawsze był przy forsie.

W spółdzielni przecież tak dużo nie zarabiał.

- Musiał mieć jakieś dodatkowe dochody.

- Na to wychodzi. Ale gdzie sobie dorabiał, to ja nie mam pojęcia.

- Jak żeśmy znaleźli jego zwłoki, to miał na sobie bardzo elegancki garnitur z pierwszorzędnego materiału, a na nogach nowiutkie włoskie buty.

- Ubrać się lubił. To fakt. - pokiwał głową Siewicki.

- Ale skąd na to brał?

- Tego nie powiem, bo nie wiem. Zresztą ja mam takie usposobienie, że się nie interesuję skąd kto bierze pieniądze. Może mu brat przysłał.

- Czy nie słyszał pan coś na ten temat, że Bednarski grał w karty albo na wyścigach?

- Nie słyszałem. Ale bardzo wątpię.

- A czy Bednarski przyjaźnił się z kimś ze swoich kolegów po fachu?

- Raczej nie. Może trochę bliżej żył z tym Wiśniewskim. Także taki elegancik. Zawsze tak od niego czuć jakąś wodą kwiatową, że trudno wytrzymać. Już mu nawet kiedyś uwagę zwróciłem, żeby się tak nie perfumował.

- Od jak dawna pan zauważył, że Bednarski dysponuje większymi kwotami pieniędzy?

Siewicki wzruszył ramionami.

- Boja wiem? Trudno mi powiedzieć. Chyba gdzieś na jesieni, a może dawniej. W każdym razie w ubiegłym roku. Tak mi się jakoś w oczy rzuciło, że Kazio lekką ręką wydaje forszę. Nawet i kolegom chętnie pożyczał. Chciałem go nawet zapytać czy nie dostał przypadkiem jakiego spadku, ale dałem spokój. Nie lubię się wtrącać w cudze sprawy.

Kozera zamknął teczkę z aktami i wsunął długopis do kieszeni.

- Na razie dziękuję panu. Jak będę jeszcze potrzebował jakichś wyjaśnień, to się do pana zwrócę.

- Proszę uprzejmie.

Sierżant Wolniak nie lubił myszkować po cudzych kątach. Mówił, że w takiej sytuacji czuje się zawsze jak włamywacz, który się dostał do czyjegoś mieszkania. Ale nie mógł przecież odmówić pomocy porucznikowi. Przeszukanie kawalerki Bednarskiego zabrało im sporo czasu. Opłaciło się jednak. Zdobyli sporo materiału rzucającego pewne światło na osobę zamordowanego krawca. A więc różne kosztowne przedmioty. Kolorowy telewizor japońskiej produkcji, wysokiej klasy magnetofon Philipsa, trzy aparaty fotograficzne, aparat radiowy Grun-diga, dwa aparaty tranzystorowe i szereg różnych drobiazgów, świadczących o zamożności właściciela kawalerki.

W szafie eleganckie garnitury, buty zagranicznego pochodzenia, koszule i krawaty, w najlepszym gatunku płaszcze, kapelusze, berety.

- Ale był forsiasty facet - dziwił się sierżant. - Skąd on brał

na to wszystko?

- Właśnie - przytaknął Kozera. - Skromny pracownik spółdzielni krawieckiej... Zupełnie niezrozumiałe.

- Kradł czy co?

- Nie. To nie wchodzi w rachubę. Raczej jakieś kombinacje, jakiś przemyt.

- A może narkotyki? - podsunął Wolniak.

- Niewykluczone. Ale kiedy by on miał na to wszystko czas? Dziwna sprawa. Trzeba będzie sprawdzić, czy nie miał konta w banku. A może i miał konta dewizowe.

W zreżniczonej skrytce w ścianie znaleźli wyroby ze złota oraz trzy tysiące dolarów.

- To jakaś większa afera - powiedział sierżant. - Wątpię, żeby ten braciszek z zachodniego Berlina przysyłał mu tyle waluty. Chyba że obaj coś kombinowali.

- Ta praca w spółdzielni krawieckiej to był tylko zwykły kamuflaż - dorzucił Kozera. - Potrzebne mu to było, żeby nie mówiono, że nigdzie nie jest zatrudniony, a możliwie żyje.

Podczas dalszych poszukiwań okazało się, że Bednarski był człowiekiem systematycznym. W górnej szufladzie biurka znaleźli duży terminarz, w którym zostało skrupulatnie zapisane wszystko to, co w danym dniu było do załatwienia. Ostatnia notatka zawierała tylko cztery pozycje: „zapłacić za mieszkanie, oddać bieliznę do pralni, zadzwonić do Marioli, skroić spodnie dla Edwarda”.

Kozera przytrzymał palec na tej ostatniej pozycji.

- Skroić spodnie dla Edwarda - powiedział wolno. - Ciekawe. Czyżby Bednarski pożyczyl sobie z pracowni nożyce bez wiedzy szefa? A może właśnie tymi nożycami został zamordowany?

- Mogło tak być - przytaknął sierżant Wolniak. - Ale nie trzeba się sugerować.

- Oczywiście, że nie.

Skończyli wreszcie przeszukiwać mieszkanie, w którym każdy szczegół świadczył o zamożności, nie wyłączając cennych obrazów na ścianach, srebrnych lichtarzy oraz zabytkowego zegara. Kozera postanowił zdobyć jeszcze trochę dodatkowych informacji dotyczących zamordowanego krawca.

Najbliższymi sąsiadami Bednarskiego byli państwo Mańkowscy. On emerytowany sędzia, ona „przy mężu”.

W praktyce okazało się jednak, że to raczej pan sędzia był „przy żonie”. Energiczna niewiasta nie dawała mu dojść do słowa i gdy tylko chciał coś powiedzieć, natychmiast go uspokajała, mówiąc: - Pozwól Toleczku. - I Toleczek pozwalał, milknąc posłusznie.

Kozera natychmiast zorientował się, że dowiedzieć się czegoś może wyłącznie od pani Mańkowskiej. Mówiła dużo, szybko i bardzo autorytatywnie.

- Bednarski? Tak. Mieszkał tu obok nas. Podobno ktoś go zabił. Szkoda człowieka. Każdego szkoda. Jaki był? Ano, taki sobie, zwyczajny. To nie był ktoś z towarzystwa. Krawiec. A krawiec, jak to krawiec.

- Czy pani z nim utrzymywała sąsiedzkie stosunki? - spytał Kozera.

- Od czasu do czasu z nim rozmawiałam. Ot tak, zupełnie przypadkowo, na schodach.

- Była pani kiedyś w jego mieszkaniu?

Obruszyła się.

- Skądże. A po cóż bym ja tam poszła?

- A on? Przychodził do państwa?

On także u nas nigdy nie był. Nie było potrzeby. Mówię przecież panu, że wyłącznie zamienialiśmy ze sobą parę słów, jak żeśmy się spotkali na schodach: „dzień dobry, dobry wieczór, ładna dzisiaj pogoda” i to wszystko.

- Jakie wrażenie robił na pani Kazimierz Bednarski?

- Nic złego o nim powiedzieć nie mogę. Człowiek był grzeczny, spokojny. Chyba nie pił, bo nigdy go pijanym nie widziałam. A w ogóle to go właściwie nie znałam, tylko z widzenia.

- Czy nie zauważyła pani kto do niego przychodził?

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś do niego przyszedł. Dawniej to może go tam i odwiedził jakiś kolega, ale ostatnio...

- Czy odwiedzały go jakieś kobiety?

Poruszyła się na fotelu niecierpliwie i energicznym ruchem odgarnęła, spadające jej na czoło siwe włosy.

- Pan wybaczy, ale ja się do takich spraw nie mieszam. Mnie te rzeczy zupełnie nie interesują.

- Może przypadkowo widziała pani kogoś?

- Ani przypadkowo, ani nieprzypadkowo. Nikogo nie widziałam. Muszę się panu przyznać, że to mnie nawet trochę dziwiło, że taki młody przystojny mężczyzna...

- Nie zapraszał do siebie młodych, przystojnych pań -uśmiechnął się Kozera.

- O właśnie. Ani żony, ani narzeczonej, ani żadnej sympatii...

- To widzę, że pani jednak interesowała się sąsiadem. Zmieszała się.

- No wie pan... Jak się tak mieszka drzwi w drzwi, to mimo woli...

- Oczywiście. Czy mogłaby mi pani jeszcze coś powiedzieć na temat Bednarskiego?

Poruszyła ramionami.

- Chyba nic więcej. Cóż mogłabym..? Aha. Wczoraj listonosz zostawił u nas list polecony, adresowany do Bednarskiego. Nie wiedziałam jeszcze, że nie żyje i przyjąłam, pokwitowałam.

- Czy ma pani ten list?

- Naturalnie. Zaraz go panu przyniosę. - Wysła do sąsiedniego pokoju i zaraz wróciła z niebieską kopertą w ręku. - Proszę.

Kozera wsunął list do kieszeni i wstał.

- Bardzo państwu dziękuję za rozmowę i przepraszam, że zabrałam tyle czasu.

- Bardzo nam było miło poznać pana, panie poruczniku - powiedział uprzejmie emerytowany sędzia, korzystając z chwilowego milczenia swej małżonki.

Kozera wrócił do mieszkania Bednarskiego, gdzie czekał na niego sierżant Wolniak. Dopiero tutaj rozerwał kopertę i wyjął z niej kawałek zeszytowego papieru. List był krótki: „Ty draniu! Niech ci się nie zdaje, że ze mną tak można. Pamiętaj, że nie jestem sama. Uważaj, bo możesz źle skończyć. Mariola”.

- Czytajcie - powiedział Kozera, podając kartkę sierżantowi.

Wolniak spojrział i poskrobał się za uchem.

- Miłosny liścik.

- Najlepszy kawał, że przysłała poleconym. Nadany w Gdańsku. Zależało jej najwyraźniej, żeby na pewno doszedł. O ile pamiętam, to znaleźliśmy jakąś Mariolę w terminarzu Bednarskiego.

- Zgadza się - przytaknął sierżant. - „Zadzwoń do Marioli”. Kozera usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

- To jest bardzo dziwna sprawa. List pisany na maszynie robi na mnie trochę podejrzane wrażenie.

- Myślicie, obywatelu poruczniku, że ktoś nas podpuszcza?

- O właśnie. Trochę to na to wygląda. Trudno oczywiście mieć w tej chwili stuprocentową pewność, ale...

- Dobrze by było odnaleźć tę Mariolę.

- Macie genialne pomysły - uśmiechnął się Kozera. -Może jeszcze powiecie mi, jak to zrobić.

- Szukajcie, a znajdziecie - powiedział z uroczystą miną sierżant.

Kozera zgasił papierosa i wstał.

- Na razie likwidujemy się stąd. Mieszkanie oczywiście jeszcze zaplombujemy. Niewykluczone, że któregoś dnia tu wrócimy.

\*

Następną rozmowę przeprowadził Kozera z Michałem Wiśniewskim. Młody człowiek kręcił się niespokojnie na krześle. Najwyraźniej przesłuchanie w komendzie milicji robiło na nim pewne wrażenie. Co chwila nerwowym ruchem odgarniał długie, ciemne włosy z czoła, nie używając jednak do tego celu grzebienia.

- Mówił mi kierownik Siewicki, że pan przyjaźnił się z Kazimierzem Bednarskim.

Wiśniewski spuścił oczy i wzruszył ramionami.

- Jaka tam przyjaźń, panie poruczniku. Zwyczajnie, jak to koledzy z pracy. Dostyc żeśmy się lubili. To fakt.

- Czy mógłby mi pan jakoś scharakteryzować Bednarskiego?

- Scharakteryzować...? To znaczy...?

- To znaczy, że chciałbym się od pana dowiedzieć, jaki był Bednarski.

Wiśniewski znowu odgarnął włosy z czoła.

- Jaki był? No cóż... Ja osobiście mogę powiedzieć, że Kazik był równym facetem, dawał się lubić. Może nie każdy tak uważa, ale ja tak.

- A, na przykład, kto tak nie uważa? - podchwycił Kozera.

- No... na ten przykład Małecki pewnie nie za bardzo go lubił.

- Dlaczego?

- Bo... Jakby tu powiedzieć? Żona Małeckiego w Kaziu się zakochała. Ale, proszę pana, czy to jego wina, że się kobiecie spodobał? Trudno o to mieć do niego pretensje. Mam rację, czy nie?

- Oczywiście - przyznał Kozera. - Pod warunkiem, że Bednarski nie uwodził żony Małeckiego.

- Jakie tam uwodzenie, panie poruczniku. Kazio dla wszystkich był grzeczny. Takie już miał usposobienie. Mogło się zdarzyć, że powiedział coś miłego, że się uśmiechnął. Ale to przecież nie jest uwodzenie.

- No i jak się skończyło z Małeckim?

- Rozeszli się. Dzieci nie mieli, więc...

- Kiedy to było?

- Nie tak dawno. Kilka miesięcy temu. Niecały rok.

- Czy Małecki powtórnie się ożenił?

- Nie. Ani on się nie ożenił, ani ona nie wyszła za mąż.

- A czy Małecka żyła z Bednarskim?

Wiśniewski zachnął się.

- Skąd. Kazik nie chciał nawet o niej słyszeć.

- Miał jakąś dziewczynę?

- Nie miał żadnej. W każdym razie ja nic o tym nie wiem.

- Nie. Ani on się nie ożenił, przyjaciółki?

- O ile ja się orientuję, to raczej nie miał. Chwalił się, że dziewczyny za nim latają, ale ja go z żadną nie widziałem.

- Bywał pan w mieszkaniu u Bednarskiego?

- Kiedyś to nawet często mnie zapraszał, ale ostatnio bardzo dawno u niego nie byłem, chyba prawie rok.

- Niech pan sobie przypomni, kiedy ostatni raz był pan u Bednarskiego.

Wiśniewski rozłożył ręce.



- Bo ja wiem. Nie pamiętam tak dokładnie. Teraz mamy lipiec. Może we wrześniu zeszłego roku, może w październiku.

- Dlaczego przestał pan bywać u Bednarskiego?

- Tak jakoś. Nie składało się.

- Czy coś się popsuło między wami?

- Co się miało popsuć? Nic się nie popsuło. Po prostu jakoś nie zapraszał mnie do siebie, no to nie szedłem. Nie jestem taki, żeby się komuś narzucać.

Kozera wygodniej usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

- Niech mi pan jeszcze powie, panie Wiśniewski, jak to było u was w pracowni z tymi nożycami.

- Z tymi co to zginęły?

- Właśnie.

- Ano, nic specjalnego nie było. Zginęły i już.

- Kto mógł je zabrać? Jak pan myśli?

- Nie mam pojęcia. Mnie samego to dziwi. Przecież nikt z naszych chłopaków... A klienci do nożyc dostępu nie mają. Ktoś podgrandził, ale kto, to panu nie powiem. Teraz takie nożyce to łakoma rzecz, bo to były pierwszorzędne nożyce.

- I nikogo pan podejrzewa?

- Absolutnie nikogo.

- Czy Bednarski brał jakieś prywatne roboty do domu? Wiśniewski poruszył ramionami.

- Roboty? Do domu? Nie wiem. Chyba nie. Nigdy mi nic nie mówił o czymś takim.

- A może w jakiś inny sposób sobie dorabiał?

- Nie wiem.

- Czy pan uważa, że Bednarski utrzymywał się wyłącznie z tego, co zarobił w spółdzielni?

Wiśniewskiego najwyraźniej zaskoczyło to pytanie.

- No cóż... Bo ja wiem... Nie zastanawiałem się nad tym.

- A jak Bednarski stał finansowo?

- Forsy mu nigdy nie brakowało. To fakt. Kiedyś nawet zaprosił mnie na obiad do „Victorii”. Zapłacił wtedy słono. Bo to i wódka, i po kieliszku wina.

- I nie zapytał pan Bednarskiego skąd on bierze na to wszystko?

- Pewnie, że pytałem. Ale się tylko uśmieł i powiedział, że to jego sprawa. Pamiętam, że po tym obiedzie spytał mnie, czy nie potrzebuję paru złotych i pożyczył mi trzy tysiące. Dobry był kumpel. Będzie mi go brakowało.

- Czy pan słyszał kiedyś o Marioli? - spytał Kozera. Wiśniewski spojrzał zdziwiony.

- O jakiej Marioli?

- O znajomej Bednarskiego, która ma na imię Mariola.

- Nie. Kazik nigdy mi nie mówił o żadnej Marioli. Nie słyszałem.

- Czy Bednarski uprawiał hazard? Grał może w karty, na wyścigach?

- Nic podobnego - oburzył się Wiśniewski. - Kazik i hazard... Wykluczone. Nienawidził hazardu. Kiedyś mu zaproponowałem, żebyśmy poszli na wyścigi, to za Boga nie chciał.

- Znaleźliśmy w mieszkaniu Bednarskiego różne cenne przedmioty. Eleganckie garnitury, kosztowne koszule, krawaty, buty zagranicznego pochodzenia.

- Kazio lubił się ostatnio elegancko ubrać. To fakt.

- A przedtem?

- Dawniej to tak raczej normalnie się ubierał. Ale teraz to tip-top. Byle czego na siebie nie włożył. To znaczy po pracy. Bo przecież do pracowni nie przychodził wystrojony.

- A w tych czasach, kiedy pan go odwiedzał, to zauważył pan, że Bednarski ma takie eleganckie garnitury, pierwszorzędne buty, kolorowy telewizor, magnetofon Philipsa i różne takie rzeczy?

Wiśniewski energicznie potrząsnął głową.

- Ale skąd. Nic takiego u niego nie widziałem. Kolorowy telewizor?

- Japońskiej produkcji.

- O cholera. Skąd on to wytrzasnął?

- Właśnie to mnie zastanawia - pokiwał głową Kozera.

- W pewnym momencie Bednarskiemu zaczęło się bardzo dobrze powodzić finansowo. Z jakiego źródła czerpał dochody, i to znaczne dochody? Nie domyśla się pan?

- Powiedziałem już przecież, że nic nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia, skąd Kazio brał forszę. Przecież nie kradł.

- A może?

- Niech pan da spokój - oburzył się Wiśniewski. - Kazio to był najuczciwszy człowiek na świecie. Dobry kolega, pracowity, solidny. Nie pił, nie palił. No... czasem trzasnął sobie setę, ale bardzo rzadko, przy jakiejś okazji, jak były czyjeś imieniny. Wartościowy był człowiek. Szkoda go.

- Więc twierdzi pan, że jak bywał pan u Bednarskiego, to nie widział pan u niego takiego luksusu.

- Jaki tam luksus, panie poruczniku. Zwyczajna kawalerka, byle jak umeblowana. Ciuchy także miał wtedy byle jakie. Dopiero potem...

- Może otrzymał jakiś spadek?

- Nic o tym nie słyszałem. Byłby się chyba pochwalił.

Ze mną Kazio był raczej szczery.

- Chyba nie był taki szczery, jeżeli nie chciał powiedzieć skąd bierze tyle forsy.

- No... faktycznie - przyznał Wiśniewski. - Pod względem gotówki to nie za bardzo był szczery. Ile razy go pytałem, mówił, że to nie moja sprawa. Może i racja. Człowiek się nie powinien wtrącać do drugiego.

- Na zakończenie chciałbym pana jeszcze o coś spytać

- powiedział Kozera. - Czy jest pan żonaty?

- Nie. A na co mi taki kłopot?

- Ma pan jakąś dziewczynę?

- Bo to jedną?

- Pytam, czy ma pan jakąś stałą sympatię, narzeczoną?

- Zmieniają się. Tak stale jedna to się znudzi.

- A czy zdarzyła się może taka sytuacja, że jakaś dziewczyna podobała się i panu, i Bednarskiemu.

Wiśniewski potrząsnął głową.

- Takiego czegoś nigdy nie było. Ja Kazika nie zapoznawałem z moimi dziewczynami. On także mnie nie przedstawiał swoim. Jakżeśmy się gdzieś wybierali, to we dwóch, bez kobiet.

Kozera postanowił zmienić temat rozmowy.

- Jak się panu pracuje w tej spółdzielni?
- Nie mogę narzekać. Kierownik ludzki człowiek, a i koledzy możliwi.
- Zadowolony pan ze swojego fachu?
- Nie za bardzo. Już jak tak szczerze rozmawiamy, to się panu przyznam, że chciałem zostać piosenkarzem, ale nie wyszło. No cóż... mówi się trudno. Pewnie, że krawiec co innego a piosenkarz co innego.

\*

Kozera nie miał wątpliwości, że to nie będzie łatwa i przyjemna rozmowa. Po drugiej stronie biurka siedział barczysty mężczyzna około pięćdziesiątki.

Twarz ponura, zacięta, wyrażająca nienawiść do otaczającego świata. Przez lewy policzek szła na ukos głęboka blizna.

- Zaprosiłem pana do komendy, żeby się czegoś dowiedzieć o tragicznie zmarłym Kazimierzu Bednarskim.

Małecki wzruszył szerokimi ramionami.

- Cóż ja...

- Może mi pan powie, jaki był Bednarski.

- Zwyczajny.

Kozera uśmiechnął się, pragnąc stworzyć nieco pogodniejszy nastrój.

- Jakby go pan scharakteryzował?

- Bo ja wiem.

- Ale coś przecież może pan o nim powiedzieć.

- Niewiele. Facet jak facet. Specjalnie się z nim nie zadawałem.

- Słyszałem, że Bednarski flirtował z pańską żoną.

- To są moje prywatne sprawy i nikomu nic do tego.

Kozera zapalił papierosa, pochylił się nad biurkiem i spojrzał w ciemne, posępne oczy.

- Panie Małecki - powiedział energicznie. - Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa i każdy szczegół dotyczący osoby Kazimierza Bednarskiego jest dla mnie bardzo istotny.

- Jeżeli pan mnie posądza o to, że zamordowałem tego miglancza, to się pan grubo myli. Ja nie mam z tym nic

wspólnego.

- O nic pana nie posądzam - zapewnił Kozera. - Obecnie jestem na etapie zbierania materiałów informacyjnych, mogących rzucić jakieś światło na osobę denata.

- Czego właściwie pan chce ode mnie?

- Chciałbym po prostu, żeby pan swoimi słowami, tak zupełnie szczerze powiedział mi, jakim człowiekiem był Bednarski.

- To był duży cwaniak. Nie liczył się z niczym i z nikim. Namnożyło się teraz takich typów. Tak na pierwszy rzut oka człowiekowi się wydaje, że przyjemny facet, sympatyczny, dobry kolega, ale w gruncie rzeczy...

- Ale to prawda, że Bednarski zalecał się do pańskiej żony? Małecki machnął ręką.

- A pan krugom swoje. Jeżeli pan chce wiedzieć, to o to najmniejszą mogę mieć pretensję do Bednarskiego. On nawet specjalnie nie tego... To moja żona coś w nim zobaczyła, nie wiedzieć co. Bez przerwy truła mi tym Bednarskim. Jaki to kulturalny, jaki inteligentny, jaki dobrze wychowany. Że umie się znaleźć w towarzystwie, że zna języki obce.

- To Bednarski znał obce języki?

- A znał. Mówił po niemiecku, po angielsku, po francusku. Tak przynajmniej opowiadała o nim moja żona.

- W rezultacie rozszedł się pan z żoną.

Małecki znowu poruszył ramionami.

- A co innego mogłem zrobić? Do końca życia miałem słuchać jakim to Bednarski jest wspaniałym mężczyzną, jak to ja się nie mogę z nim równać? Wkurzyło mnie wreszcie. Ale widzę, że pan mnie ciągle podejrzewa o to, że ja z zazdrości...

- Mówiłem już, że pana o nic nie podejrzewam - powiedział Kozera.

- Już jeżeli ktoś z naszych miałby wykończyć Bednarskiego - ciągnął dalej Małecki - to raczej Śliwiński, a nie ja.

- Kto to jest Śliwiński?

- Edmund Śliwiński. Nasz krojczy. Pierwszorzędny fachowiec.

- Dlaczego pan uważa, że Śliwiński nienawidził

Bednarskiego?

- To znaczy, że mu świnie podłożył.

- To znaczy?

- To znaczy, że mu świnie podłożył.

- Ale konkretnie o co chodziło?

Małecki energicznie potrząsnął głową.

- Nie będę robił plotek.

- Niechżeż pan zrozumie - powiedział cierpliwie Kozera

- że to jest przesłuchanie w komendzie milicji. Jest pan zobowiązany mówić wszystko, co pan wie i odpowiadać na moje pytania.

- Nie będę robił plotek - upierał się Małecki. - Jak pan się chce dowiedzieć czegoś o Śliwińskim, to niech on sam panu powie.

\*

Chcąc nie chcąc Kozera musiał przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę z krawcem.

Edmund Śliwiński robił wrażenie człowieka, który cieszy się dobrym zdrowiem i znakomitym apetytem. Średniego wzrostu, okrągłych kształtów, toczył się na krótkich nogach niczym kula bilardowa. Owalna, rumiana twarz tryskała pogodą ducha oraz skłonnością do obfitych posiłków.

„Ten nie wygląda na mordercę” - pomyślał Kozera. - „Chociaż pozory często mylą”.

- Przyjemnie tu, u pana porucznika - powiedział

z uśmiechem krojczy. - Tak zacisznie, ładny widok z okna, dużo zieleni. I nie tak duszno. Bo dzisiaj ciepłutki dzień. Kozera nie był nastawiony na towarzyską pogawędkę.

- Pewnie pan wie w jakiej sprawie zaprosiłem pana do nas, panie Śliwiński.

Grubas poprawił się na krześle i wydał pełne, czerwone wargi.

- Domyślam się, że chodzi o Bednarskiego.

- Właśnie. Chciałbym, żeby mi pan powiedział jakim człowiekiem był Bednarski.

- Nie mówi się źle o zmarłych, panie poruczniku.

- To prawda - przyznał Kozera. - W danym wypadku

musimy jednak odstąpić od tej zasady. No więc... co mi pan powie o Bednarskim?

- To był kawał drania, świnia.

- A dlaczego pan tak ujemnie wyraża się o zmarłym koledze? Czy ma pan po temu jakieś powody?

Śliwiński położył na biurku duże, muskularne dłonie, które w rażący sposób kontrastowały z całym korpusem.

- No chyba, że mam powód. Tak na wiatr nie gadałbym przecież byle czego.

- Może by mi pan to jakoś szerzej wyjaśnił - zaproponował Kozera.

- No cóż... Właściwie mogę powiedzieć. Nie muszę robić z tego tajemnicy.

- Więc słucham. Czymże się tak naraził panu Bednarski? Kroczy odetchnął głębiej i zdjął dłonie z biurka, jakby doszedł do przekonania, że to nie jest dla nich odpowiednie miejsce.

- Bednarski napisał na mnie anonim.

- Jeżeli to był anonim, to skąd pan wie kto go napisał?

- Porównaliśmy w pracowni pismo wszystkich pracowników. Bez trudu można było poznać, że to Bednarski napisał. Zresztą w końcu się przyznał.

- I cóż takiego było w tym anonimie?

- Ano było to, że ja podłapuję robotę spółdzielni i klientom prywatnie szyję u siebie.

- Ale to nieprawda.

- Chyba że nie prawda. Czyja wyglądam, panie poruczniku na takiego kanciarza?

- Ależ skąd - zaprzeczył uprzejmie Kozera. - To rzeczywiście Bednarski jakoś nieładnie się zachował.

- Po świńsku. Jak zwyczajna świnia. Nie mówi się źle o umarłych, ale...

- Skąd mu to przyszło do głowy? - spytał Kozera. - Czy rzeczywiście pan żadnej roboty nie brał do domu? Tak prywatnie?

- Raz się zdarzyło, że uszyłem spodnie mojemu siostrzeńcowi. Ale to przecież żadne przestępstwo. Chłopakowi potrzebne były spodnie, to chciałem mu zrobić prezent na

imieniny.

- A jak to było z tymi nożycami? - spytał nagle Kozera.

- Z jakimi nożycami? - w głosie krojczego wyczuwało się pewien niepokój.

- No, z tymi, które zginęły w pracowni.

- Ach, to o tym pan mówi. Faktycznie nożyce zginęły.

- Co się mogło z nimi stać?

- Nie mam pojęcia.

- Ktoś sobie przywłaszczył?

- Na to wychodzi. Sam zachodzę w głowę, kto mógł zabrać te nożyce.

- Czy Bednarski miał do pana jakiś żal?

- Żal? A o cóż mógł mieć do mnie żal? - Nie zabrzmiało to zbyt przekonywująco. Kozera nie bardzo wiedział, co ma myśleć o całej tej sprawie.

- Bo ten anonim, o którym pan wspominał, robi na mnie takie wrażenie, jakby Bednarski chciał się na panu za coś zemścić.

- Zemścić? Za co?

- Chciałbym to wiedzieć - uśmiechnął się przyjacielsko Kozera.

## Rozdział II

Noc była ciemna.

Silne światło reflektorów wydobywało z mroków białą wstęgę szosy. Przerażony zając dostał się w oślepiającą smugę i pędził tak długo, aż zginął pod kołami. Po chmurnym niebie przewalał się daleki, głuchy grzmot.

Habner zwiększył prędkość. Chciał jak najprędzej coś przedsięwziąć, zacząć działać, zaasekurować się. Zaczynał być niespokojny. Trudno było przewidzieć, jaki będzie dalszy bieg wypadków. Wiedział z doświadczenia, że w takiej sytuacji nie wolno niczego zaniedbać.

Zwolnił dopiero kiedy posłyszał szum morza.

Mariola jeszcze nie spała. Siedziała przed lustrem i rozczesywała gęste miedziane włosy. Na odgłos szeleszczącego



pod kołami żwiru, podeszła do okna.

- To ty, Robercie?

Po paru stopniach wbiegł na ganek. Pocałował ją z roztargnieniem, nie tak jak zwykle.

Usiadł w głębokim fotelu i wyjął z kieszeni papierosy. Patrzyła na niego zdziwiona, zaniepokojona.

- Co się stało?

- Bednarski nie żyje.

- Co ty mówisz? Kazik? Zawał?

- Żaden zawał. Ktoś go zamordował.

Położyła grzebień na toalecie i usiadła.

- Nieprawdopodobne. Kto go zabił?

Wzruszył ramionami.

- Głupie pytanie. A skąd ja mogę wiedzieć?

Przeciągnęła dłonią po czole.

- Wiesz na pewno?

- Przestań bredzić. Jakbym nie wiedział, to bym nie mówił.

- I co teraz będzie?

- Ja się likwiduję z terenu.

- Chcesz wyjechać za granicę?

- A na co mam czekać?

Energicznie potrząsnęła głową.

- Oszalałeś? Właśnie w tym momencie?

- Masz coś do picia?

- Mam trochę wódki.

- Daj mi.

Poszła do kuchni i wyjęła z lodówki butelkę, a z kredensu dwa kieliszki. Kiedy wróciła do pokoju, Habner stał przy oknie i palił papierosa. Robił wrażenie trochę spokojniejszego. Wypił wódkę i odetchnął głęboko.

- Cholera jasna.

Wzięła do ręki pełny kieliszek, ale nie podnosiła go do ust. Patrzyła pod światło na złotawy płyn.

- Zupełnie nie rozumiem dlaczego wpadasz w taką panikę - powiedziała po chwili. - Nic ci przecież nie grozi. Ponownie napełnił kieliszek i wrócił na fotel. Jego sucha, śniada twarz była ściągnięta.

- Jesteś skończoną idiotką. Nie masz odrobiny wyobraźni. Nie potrafisz nic przewidzieć.

- Co miałabym przewidzieć?

- A to, że w sprawie morderstwa prowadzone jest zazwyczaj śledztwo. Chyba się orientujesz.

- No i co z tego, że prowadzą śledztwo?

- Dojdą do ciebie, a następnie dojdą do mnie. To chyba proste.

- Ja cię nie sypnę. Możesz być spokojny.

Skrzywił się.

- To ci się tylko tak zdaje.

- Nic mi się nie zdaje. W razie czego słowa nie powiem na twój temat.

Wypił wódkę i wrócił na fotel.

- Słuchaj, kochana. Nie wyobrażaj sobie, że ci z Wydziału Zabójstw to banda głupców. Nie identyfikuj ich z tymi facecikami, którzy ci wlepiają mandat za przekroczenie szybkości. To doskonali fachowcy. Znam ich. Nie licz na to, że ich przechytrzysz.

Sięgnęła po papierosy.

- Jednego nie mogę zrozumieć. Dlaczego właściwie przypuszczasz, że będą mieli jakiś interes do mnie?

- Ponieważ miałaś powiązania z Bednarskim.

- Kto im to powie?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Mogą jakoś dojść do tego.

- Nie bądź pesymistą. Zaczynasz wszystko widzieć w czarnych kolorach. Spójrz trzeźwo na sytuację. Zaśmiał się niewesołym śmiechem.

- Wydaje mi się, że bardzo trzeźwo oceniam sytuację.

I właśnie dlatego...

- Chwileczkę - przerwała mu. - Zastanówmy się, na jakiej podstawie mogliby się mnie czepiać.

- Pisywałaś do Bednarskiego?

- Nigdy.

- Przypomnij sobie. Może jednak..?

- Jak mówię, że nigdy do niego nie pisałam, to znaczy, że

nigdy - zniecierpliwiała się.

- Mógłby cię ktoś z nim widzieć na mieście.
- No to co z tego? Kazik chodził z niejedną dziewczyną.
- Spotykałaś się z nim w kawiarni.
- Oczywiście. Musiałam się przecież gdzieś z nim spotykać.
- Zastanów się przez kogo mogliby dojść do ciebie.
- Nie mam pojęcia.

Chciał sobie jeszcze nalać wódki. Przytrzymała go za rękę.

- Już dosyć. Nie pij więcej.
- Dobrze - zgodził się posłusznie. Nie będę pił, chociaż miałbym ogromną ochotę zalać się. Ale ten cholerny Bednarski mnie zdenerwował.

Podeszła i pocałowała go mocno w usta.

- Może byś wreszcie przestał myśleć o Bednarskim i pomyślał o mnie. Stęskniłam się.

Objął ją i posadził sobie na kolanach.

- Przykro mi, kochanie, ale nie jestem dzisiaj jakoś w nastroju.
- Właśnie widzę, ale może spróbujemy stworzyć trochę przyjemniejszy nastrój. Zgasiła światło i pociągnęła go w kierunku szerokiego tapczana. Bez zapału zaczął się rozbierać.

W nocy obudził go jakiś łomot. Otworzył oczy i zaczął nadśluchować. To ulewny deszcz walił zaciekle w szyby. Silny wiatr ciskał strumieniami wody.

Nie mógł zasnąć. Podłożył ręce pod głowę i zapatrzył się w ciemność. Zdawał sobie doskonale sprawę, że sytuacja jest zła. Czuł się zagrożony, a największym powodem tego zagrożenia była Mariola. Jeżeli sobie skojarzą jej osobę z nim, to zaczną go podejrzewać o to, że to on wykończył Bednarskiego, a następnie dojdą do tamtych spraw. Co robić? Starać się o paszport? To mogłoby wzbudzić czyjeś podejrzenia. Niedawno wrócił do kraju. Dlaczego zaraz chce wyjeżdżać? Chyba żeby go firma delegowała, ale na to się nie zanoszą. Więc co? Czekać cierpliwie na dalszy rozwój wypadków? Nic nie przedsięwziąć? Nie próbować się jakoś zaasekurować? Jeżeli nawet ona rzeczywiście nigdy do niego nie pisała, to przecież w mieszkaniu Bednarskiego mogli znaleźć jakąś notatkę, imię,

nazwisko, numer telefonu. Nie, stanowczo nie można było liczyć na to, że prędzej czy później nie dojdą do Marioli.

Wyciągnął rękę i dotknął gęstych, puszystych włosów. „Najlepiej byłoby się jej pozbyć” - pomyślał. Wzdrygnął się.

Rano obudziła się w doskonałym humorze. Wskoczyła spod kołdry i szeroko otworzyła okno. Słoneczny dzień wypełnił pokój. Po nocnej zawierusze nie było śladu.

- Zaraz zrobię śniadanie - powiedziała wesoło. - Zjesz jajecznicę?

Nie protestował. Był bardzo głodny. Dopiero teraz przypomniał sobie, że przez cały wczorajszy dzień nic nie miał w ustach.

Kiedy siedzieli już przy stole, nakrytym obrusem w granatową kratę, Mariola powiedziała:

- Wiesz co? Doszłam do wniosku, że zupełnie niepotrzebne jest to całe twoje zdenerwowanie. Uważam po prostu, że absolutnie nic nam nie grozi. No pomyśl tylko. Kto sobie skojarzy jakiegoś tam krawca z dobrze zapowiadającą się piosenkarką albo z poważnym urzędnikiem firmy polonijnej. Nonsens.

Kawałkiem chleba starannie wyskrobał z talerza resztki jajecznicy.

- Jesteś urodzoną optymistką - mruknął.

- A ty jesteś urodzonym ponurakiem - odparowała.

- Wiesz, że nigdy takim nie byłem, ale uważam, że nie można lekceważyć tak poważnej sytuacji.

- Ale także nie należy popadać w panikę. To nigdy nie daje dobrych rezultatów. Powinniśmy się zachowywać zupełnie normalnie, tak jakby śmierć Bednarskiego absolutnie nas nie obchodziła.

- Bez trudu mogą dowiedzieć się o istnieniu Ludwika.

- No to co z tego? Co nam do tego, że jakiś krawiec ma brata w RFN? Ty masz doprawdy talent do wynajdywania sobie powodów do zmartwienia.

- A jeżeli Ludwik w jakimś liście wspomniał o tobie? Wzruszyła ramionami.

- Przestań truć. Ludwik nie wie nawet o moim istnieniu.

- Jesteś idiotka - zdenerwował się. - Bednarski był w stałym kontakcie z Ludwikiem. Mało prawdopodobne, żeby przy jakiejś okazji nie wspominał o tobie.

- A gdyby nawet... Zupełnie nie widzę powodów, żeby się przejmować takimi rzeczami.

- Bo masz ptasi mózdzek, jak każda kobieta. Brak ci wyobraźni. A w tych sprawach trzeba umieć patrzeć perspektywicznie, trzeba przewidzieć każdą ewentualność. Nie ma wątpliwości, że śmierć Bednarskiego bardzo nam skomplikowała sytuację.

- Przestań się zamartwiać. Długo zostajesz w Sopocie?

- Jutro wracam do Warszawy.

- Już? Chcesz, żebym pojechała z tobą?

- Po co? Posiedź jeszcze trochę nad morzem. Opalisz się. Kapitan Rosicki był w fatalnym humorze. Nie dosyć,

że dokuczał mu upał, którego nie znosił, to jeszcze teraz sprawa tej topielicy. „Chwili spokoju człowiek nie może mieć” myślał ze złością. „Ciągle ci ludzie coś wyprawiają”. Rozpiął pod szyją kołnierz i spojrzał na lekarza.

- No i co?

Lekarz pokręcił głową. Robił wrażenie człowieka bardzo zatroskanego.

- Nie chcę pana martwić, kapitanie, ale to niedobrze wygląda.

- Jak to niedobrze? Dlaczego?

- Obawiam się, że będzie pan miał trochę roboty.

- Niechżeż pan mówi wyraźnie o co chodzi - zniecierpliwił się Rosicki.

- Wszystko wskazuje na to, że to nie było zwykłe utonięcie w czasie kąpeli. Denatka otrzymała cios w tył głowy jakimś ciężkim przedmiotem, prawdopodobnie kamieniem, płaskim kamieniem. Wyraźne zasinienie.

Rosicki ożywił się.

- Morderstwo?

- Chyba tak, kapitanie. Morderca chciał stworzyć pozory utonięcia w kąpeli. Ofiara najwidoczniej była bardzo silna, broniła się energicznie i dlatego użył kamienia. Ogłuszył ją pod

woda.

- Zasadniczo tu nie wolno się kąpać - zauważył Rosicki.

Lekarz uśmiechnął się.

- Proszę pana... Ile to u nas ludzie robią rzeczy, których robić nie wolno. Wszystkie przepisy i zakazy to nie dla naszego społeczeństwa. Jesteśmy chyba najmniej zdyscyplinowanym narodem na świecie.

Rosicki nie podjął tego tematu. Stał w milczeniu i przez dłuższą chwilę patrzył na nieruchomą twarz pięknej dziewczyny, na jej bujne włosy koloru miedzi. Zrobiło mu się żal tego młodego życia.

Ze zidentyfikowaniem zwłok nie było większych kłopotów. Mariolę Nasielską znano na Wybrzeżu, jako początkującą piosenkarkę.

Rosicki zaczął przesłuchanie od Edwarda Lowerta.

- To pan znalazł zwłoki?

- To nie jest ściśle sformułowanie, panie kapitanie. Poszliśmy z żoną i z przyjaciółmi na spacer w kierunku Jelitkowa. W pewnym momencie zauważyliśmy, że jakieś ciało unosi się na falach. Zaalarmowałem milicję. To wszystko.

- Czy pan znał denatkę?

Lowert skinął głową.

- Tak znałem. Spotkałem ją parę razy w towarzystwie.

- Była piosenkarką.

- Usiłowała zostać piosenkarką. Ale czy miała jakieś szanse zrobienia kariery, tego nie wiem. Nie interesowałem się tym specjalnie.

- Czy pan wie gdzie mieszkała pani Nasielska?

- Wiem. W willi pana Habnera.

- Zna go pan?

- Znam. Pracuje w firmie polonijnej. A że ja reprezentuję centralę eksportową... Miałem z nim kontakty nie tylko towarzyskie, ale i służbowe. Wprawdzie niewiele z tego wynikało, ale...

- Rozumiem. Więc pan poszedł z żoną i z przyjaciółmi na spacer w kierunku Jelitkowa...

Lowert spojrział zdziwiony.

- Zdaje się, że już to powiedziałem.

- Tak, tak, oczywiście. A kto miał ochotę pójść w kierunku Jelitkowa? Pan?

Lowert poruszył ramionami.

- Nie rozumiem co to ma za znaczenie, ale jeżeli chce pan koniecznie wiedzieć, to była to inicjatywa przyjaciółki żony, pani Jaworskiej. Ja osobiście wolę spacerować w kierunku Orłowa. Ale to przecież nie jest sprawa istotna. Panie chcą do Jelitkowa, proszę bardzo.

Następnie Rosicki przesłuchiwał kolejno wszystkie osoby, które brały udział w owym spacerze do Jelitkowa. Zeznania były na ogół zgodne. Wszyscy potwierdzali spacer w kierunku Jelitkowa, na który miała specjalną ochotę pani Jaworska, starsza dama, krygująca się, rzucająca spod rzęs powłóczyście spojrzenia podczas rozmowy z przystojnym kapitanem. Kto pierwszy dostrzegł pływające w wodzie zwłoki nie sposób było ustalić. Pod tym względem zeznania były sprzeczne.

Następną czynnością Rosickiego było odwiedzenie Willi Habnera. Zabrał ze sobą do pomocy porucznika Bujniaka i pojechali.

Drzwi i okiennice znaleźli zamknięte. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś był w domu. Na wszelki wypadek zadzwonili parokrotnie, postukali, zdając sobie sprawę z bezcelowości tej akcji.

- Włamujemy się? - spytał Bujniak.

Rosicki ruchem ręki powstrzymał zapal porty.

- Chwileczkę. Najprzód może zdobędziemy trochę informacji. Nie mamy właściwie powodów do tego, żeby wylaamywać zamki.

- Szkoda - westchnął Bujniak, który lubił popisywać się swymi ślusarskimi umiejętnościami.

Najbliższym sąsiadem Habnera był jednonogi inwalida, który z żoną mieszkał w małym drewnianym domku, przed którym rosły czerwone malwy.

Weteran walk wrześnieowych przyjął oficerów milicji z pewną rezerwą, nie wiedząc o co chodzi. Odwiedziny przedstawicieli władzy, nie wiadomo dlaczego, w każdym

wzbudzają pewne zaniepokojenie. Dowiedziawszy się jednak, że zostało popełnione morderstwo, ożywił się, wykazując ogromne zainteresowanie.

- Co panowie mówią? Taka śliczna dziewczyna.

- Znał ją pan? - spytał Rosicki.

- Tak z widzenia, po sąsiedzku. Czasami zamieniliśmy kilka słów.

- Powiedz, że próbowałeś ją bałamucić - wtrąciła się żona. Były kawalerzysta roześmiał się i machnął ręką.

- Daj spokój, Magdusiu. Jakie tam bałamucenie. W moim wieku.

- Wiek wiekiem, a do flirtów z ładnymi dziewczynami jesteś pierwszy. Zostało ci to z dawnych lat.

Rosicki postanowił przerwać to małżeńskie przekomarzanie się.

- Ta obok to jest willa pana Habnera?

-Tak.

- Znają go państwo?

Rotmistrz Majewski skrzywił się.

- Prawie wcale. To nie jest człowiek, z którym można by utrzymywać znajomość.

- Dlaczego?

Wzruszenie ramion.

- Bo ja wiem. Taki jakiś gburowaty.

- Źle wychowany - dorzuciła Majewska. - Nie warto nawet zaczynać z nim rozmowy. Owszem, kłania się, jak nas zobaczy, ale słowem się nie odezwie. Widocznie uważa się za coś lepszego. Może...

- Daj spokój, Magdusiu. Co tam tyle mówić o jakimś facecie. Teraz byle chamisko dorywa się do jakiegoś stanowiska i zaraz mu się zdaje, że jest Bóg wie kim. Ale tej dziewczyny to mi żal. Taka młoda, taka ładna. Podobno występowała jako śpiewaczka.

- Często tu przyjeżdżała? - spytał Rosicki.

- Dosyć często. Szczególnie w lecie.

- A ostatnio? Długo tu była?

- Może z tydzień, albo i dłużej. Dokładnie panu nie



powiem.

- A pan Habner?

- Ten nigdy na dłużej nie przyjeżdża. Wpada na parę dni.

- A teraz? Ostatnio?

- Był, zdaje się, dwa dni. Prawda, Magdusiu?

- Równy dwa dni - przytaknęła pani Majewska.

- Kiedy wyjechał?

- Chyba w nocy. Jakeśmy rano wyszli do ogródka, to dom był zamknięty. Myśleliśmy, że oboje wyjechali.

- Okazuje się jednak, że ta dziewczyna nie wyjechała. Starszy pan pokiwał głową.

- No tak, tak... Z tego wynika, że nie wyjechała. Czy pan podejrzewa, panie kapitanie...

- Ja nic nie podejrzewam - uciął energicznie Rosicki. -

Ja zbieram informacje. Proszę mi powiedzieć, czy pani Nasielska wspominała państwu, że ma zamiar wyjechać?

- Nic nie mówiła - powiedziała, kręcąc głową, pani Majewska. - Nawet żeśmy się zdziwili, jak żeśmy zobaczyli dom zamknięty tak na cztery spusty. Zazwyczaj panna Mariola mówiła do widzenia, kiedy wyjeżdżała. Mąż mi wytłumaczył, że pewnie wyjechali w nocy i dlatego...

- Byłem pewny, że oboje wyjechali w nocy - wtrącił rotmistrz.

- Nie słyszeli państwo warkotu motoru?

- Nie. Noce są już dosyć chłodne. Pozamykaliśmy okna i okiennice.

- Czy może państwo słyszeli, że pan Habner sprzeczał się ze swoją przyjaciółką?

- Nie, nic żeśmy takiego nie słyszeli - powiedział stanowczo Majewski.

- My w ogóle nie mamy zwyczaju podsłuchiwać, co się dzieje u sąsiadów - dodała pani rotmistrzowa.

- Czy pani widziała wczoraj panią Mariolę Nasielską?

- Widziałam, oczywiście.

- Rozmawiała pani z nią?

- Zamieniłyśmy parę słów. Nie było czasu na dłuższe rozmowy, bo ja musiałam opielić warzywnik, a ona leżała na

leżaku i opalała się.

- W jakim była nastroju?

- W doskonałym. Śmiała się, żartowała, nawet śpiewała.

- A pan Habner?

- Jego nie widziałam. Majstrował coś przy samochodzie. Kto ma samochód, to musi się przy nim porządnie napracować.

- Jaki wóz ma pan Habner?

Pokręciła głową.

- Tego panu nie powiem, bo się nie znam.

- Ma mercedesa - wyjaśnił rotmistrz. Chyba na ropę. Bardzo ładna maszyna. Wygląda jak nowa.

Rosicki wstał.

- Dziękuję za miłą rozmowę. Dostarczyli mi państwo dużo cennych informacji.

Zapadła decyzja. Zamki zabezpieczające willę Habnera zostały sforsowane. W znacznym stopniu przyczynił się do tego porucznik Bujniak.

Energicznie zabrali się do przeszukania wnętrza. Jednak mimo wyteżonej pracy nie osiągnęli żadnych rezultatów. Ot, zwyczajne mieszkanie, urządzone bardzo przyzwoicie, a nawet z pewnym zbytkiem.

- Jeżeli ją tutaj zamordował, to musiał załadować zwłoki do wozu i wywieźć nad morze - powiedział porucznik. Rosicki potrząsnął głową.

- Sekcja wykazała obecność wody w płucach. Dziewczyna została ogłuszona i utopiona. Była w kostiumie kąpielowym.

- To prawda - przytaknął porucznik. - To bardzo dziwne. Teraz noce są dosyć chłodne. Ja osobiście nie miałbym najmniejszej ochoty na kąpiel w morzu przy księżycu. Dopiero w garażu natrafili na coś interesującego.

W schowku porucznik Bujniak znalazł odrobinę białego proszku.

Rosicki powąchał i powiedział:

- Heroina.

### Rozdział III

Kozera pocił się. Rozmowa z tą zaszuszoną starą panną nie należała do najprzyjemniejszych. Trudno było się dziwić, że Eugenia Bednarska nie znalazła kandydata na męża. Siedziała sztywno naprzeciwko urzędowego biurka i co chwilę wskazującym palcem prawej ręki poprawiała okulary, które uparcie zsuwały się po wyschniętym, spiczastym nosie. Wąskie, bezkrwiste wargi były mocno zaciśnięte, a w ciemnych oczach bez trudu można było dostrzec zdecydowaną niechęć do mężczyzny, który jej zadawał pytania.

- Więc pani nie utrzymywała stosunków ze swoim bratem Kazimierzem?

- Już to powiedziałam.

- A czy można wiedzieć, dlaczego pani była tak negatywnie usposobiona do brata?

- Nie lubiłam go. Nie odpowiadał mi jego styl życia.

- A jakież to był ten jego styl życia?

- Co to pana obchodzi?

Kozera uśmiechnął się leciutko.

- Przecież się pani orientuje, że brat pani został zamordowany.

- Tak. Wiem.

- A ja prowadzę dochodzenie w tej sprawie - wyjaśniał cierpliwie Kozera. - Nie może się więc pani dziwić, że wypytuję o różne szczegóły. Interesuje mnie to ogromnie, dlaczego pani była tak niechętnie usposobiona do zmarłego tragicznie brata.

- Był niewierzący, a poza tym...

- Co poza tym?

- Poza tym był rozpustnikiem. Żył bez ślubu z tą Mariolą.

- Jest pani tego pewna? Ma pani na to dowody?

Znowu popchnęła palcem okulary.

A jakież ja mogę mieć dowody? Wszyscy tak mówili.

- Może nieprawdę mówili?

Pokręciła głową.

- Prawdę, prawdę. Już tam ludzie wiedzą...

Kozera pomyślał, że siostra Bednarskiego mogłaby z

powodzeniem zagrać rolę dziewiętnastowiecznej przełożonej pensji.

- Zdaje się, że pani ma jeszcze jednego brata?

- Mam. Ludwika.

- I z tym bratem także nie utrzymuje pani stosunków?

- Ludwik mieszka stale w RFN. Pisujemy do siebie, ale rzadko.

- Odwiedza go pani czasem?

- Nigdy u niego nie byłam. Zapraszał mnie nawet, ale mnie męczą podróże.

- Czy przechowuje pani listy od brata Ludwika?

- A po cóż miałabym sobie zaśmiecać mieszkanie. I tak mam ciasno. Nawet musiałam oddać świnki morskie.

- Kiedy ostatni raz pisał do pani brat Ludwik?

- Kilka miesięcy temu. Dobrze nie pamiętam. Pamiętam tylko, że prosił mnie w tym liście, żebym do niego nie pisała nic na temat tej Marioli.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może nie chciał się denerwować. On z Kaziem żył dosyć blisko. Kazio tam nawet parę razy jeździł do niego.

Rozległo się stukanie do drzwi.

Kozera podniósł głowę.

- Proszę.

Wszedł sierżant Wolniak.

- Przepraszam, obywatelu poruczniku, ale ważna wiadomość z Wybrzeża.

- Dawajcie.

Sierżant położył dalekopis na biurku.

„Robert Habner podejrzany o zamordowanie Marioli Nasielskiej. Podejrzany także o narkotyki. Zatrzymać”. Kozera z roztargnieniem spojrzął na siostrę Bednarskiego.

- Nie będę już pani dłużej zabierał czasu - powiedział.

- Zupełnie nie rozumiem całej tej sprawy.

Kozera bez pośpiechu ułożył na biurku wszystkie przybory do pisania i podniósł wzrok na siedzącego po drugiej stronie biurka przystojnego, bardzo eleganckiego mężczyznę.

- Mam wrażenie, że zupełnie jasno powiedziałem, o co chodzi. Jest pan podejrzany o zamordowanie Marioli Nasielskiej.

- Ależ to nonsens! Niechże pan nie wierzy w takie bzdury. Kozera w bezradnym ruchu rozłożył ręce.

- Bardzo żałuję, panie inżynierze, ale niestety fakty przemawiają przeciwko panu.

- Co pan opowiada?! - zdenerwował się Habner. - Jakie fakty?

- Spędził pan z Mariolą Nasielską dwa dni w swojej willi w Sopocie.

- To prawda, ale to jeszcze nie dowód, że ją zamordowałem.

- Wyjechał pan z Sopotu nagle w nocy...

- Wcale nie nagle. Tak miałem zaplanowane. Lubię jeździć nocą. Jest chłodno i mały ruch na szosach. Można rozwinąć większą szybkość.

- Czy wyjeżdżając z Sopotu zostawił pan Mariolę Nasielską w swojej willi?

- Oczywiście. Uzgodniliśmy, że zostanie jeszcze parę tygodni nad morzem.

- Rano, po pańskim wyjeździe, zastaliśmy willę zamkniętą. Drzwi były zaryglowane, okiennice także zamknięte.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział, kręcąc głową Habner. - Mariola miała jeszcze zostać parę tygodni.

- Tego ranka zwłoki Marioli Nasielskiej zostały znalezione w morzu, w pobliżu Jelitkowa.

- Straszne.

- Bardzo przykra sprawa - przytaknął Kozera. - Mariola była pańską przyjaciółką?

-Tak.

- Od dawna?

- Mniej więcej od roku.

- Czy w ubiegłym roku Mariola Nasielska także mieszkała w pańskiej willi w Sopocie?

- Tak. Chyba także w lipcu, a może i w sierpniu.

- Pan mieszka na Bielanach?

- Tak. W alei Zjednoczenia.

- Sam pan mieszka?  
- Nie, z żoną.  
- Czy pańska żona wiedziała, że pan wyjeżdża nad morze z Mariolą Nasielską?  
- Oczywiście. Takich spraw nie da się ukryć.  
- I żona tolerowała pański stosunek z Mariolą Nasielską? Habner uśmiechnął się z pewnym przymusem.  
- No... wie pan, panie poruczniku... Od pewnego czasu nasze małżeństwo jest czystą formalnością. Właściwie nic nas nie łączy poza wspólnym mieszkaniem. Mieszkanie jest duże, czteropokojowe. Chcemy zamienić, ale to nie takie proste.  
- Czy państwo mają rozwód?  
- Jeszcze nie. Ani mnie, ani żonie specjalnie na tym nie zależy. A jesteśmy ciągle tak zajęci, że nie mamy czasu myśleć o przeprowadzeniu rozwodu.  
- Czy pańska żona pracuje zawodowo?  
- Tak. Jest lekarką.  
- Czy znała Mariolę Nasielską?  
- Znała. Mam wrażenie, że ją nawet lubiła.  
- Nie sądzi pan, że to trochę dziwne?  
Habner skinął głową.  
- Owszem. Być może, że się myślę. Kobiety umieją się maskować.  
- Mężczyźni chyba także - uśmiechnął się Kozera. -  
A czasami może jeszcze lepiej. Proszę mi powiedzieć, gdzie obecnie znajduje się pańska żona?  
- W Sopocie. Pojechała na urlop do siostry.  
- Od jak dawna przebywa w Sopocie?  
- Chyba od dwóch tygodni.  
- Czy żona ma klucze od tej pańskiej willi?  
- Ma. Czasami tam jedzie na kilka dni. Uzgadniamy.  
- Czy w willi jest telefon?  
- Oczywiście.  
- A czy w mieszkaniu siostry żony także jest telefon?  
- Jest. W dzisiejszych czasach trudno obejść się bez telefonu.  
Kozera przysunął sobie kalendarz, stojący koło karafki z wodą.

- Może sobie dokładnie ustalimy pewne fakty.  
- Proszę uprzejmie - zgodził się skwapliwie Habner.  
- No więc tak... - Kozera przewrócił kartkę kalendarza i powiódł po niej palcem. - Z Warszawy do Sopotu wyjechał pan dziewiątego lipca.

- Zgadza się.

- I do swojej willi przyjechał pan późnym wieczorem.

- Około dwunastej w nocy.

- Długo pan przebywał w Sopocie?

- Dwa dni. Byłem przez niedzielę i poniedziałek.

- To znaczy dziesiątego i jedenastego.

-Tak.

- I wyjechał pan w poniedziałek, jedenastego, późnym wieczorem.

-Tak.

- O której mniej więcej godzinie?

- Było już chyba około dwunastej.

- I zostawił pan w willi Mariolę Nasielską?

- Oczywiście. Uzgodniliśmy, że jeszcze jakiś czas pobędzie nad morzem.

- Czy pani Nasielska miała zwyczaj kąpać się w morzu w nocy?

- Raczej nie. Lubiła słońce. Zresztą teraz noce są dosyć chłodne. A Bałtyk to nie jest południowe morze.

- Ustaliliśmy niektóre fakty - powiedział wolno Kozera. - I sprawa wygląda w sposób następujący: Spędził pan z Mariolą Nasielską dwa dni w Sopocie w swojej willi, niedzielę i poniedziałek. W nocy z poniedziałku na wtorek wyjechał pan z Sopotu, a rano, dwunastego lipca, we wtorek, znaleziono w morzu zwłoki Marioli Nasielskiej. Musi pan przyznać, że pańska sytuacja nie należy do najweselszych.

- Chyba pan nie przypuszcza, że to ja zamordowałem Mariolę! - wykrzyknął wzburzony Habner.

Kozera machnął ręką.

- To nie ma żadnego znaczenia co ja przypuszczam.

Istotne są fakty.

Habner uspokoił się i zapalił papierosa.

- Panie poruczniku... Niechże pan spróbuje logicznie przeanalizować to zagadnienie. Czyż ja wyglądam na takiego idiotę, który chcąc pozbyć się dziewczyny, działa w tak prymitywny sposób? Przecież to kompletny nonsens.

- Morderca chciał upozorować utonięcie w czasie kąpieli. Ofiara jednak stawiała najwidoczniej zdecydowany opór, bo musiał ją ogłuszyć jakimś ciężkim przedmiotem, prawdopodobnie płaskim kamieniem.

Habner uśmiechnął się.

- No widzi pan. Ten fakt przemawia zdecydowanie na moją korzyść. Proszę mi się dobrze przyjrzeć. Czy wyglądam na cherlaka? Nie chcę tutaj rozbierać się i prezentować moich mięśni, ale pragnę pana poinformować, że swego czasu uprawiałem kulturystykę oraz inne sporty. Jestem bardzo silny i na pewno nie potrzebowałbym używać kamienia, żeby przytrzymać dziewczynę pod wodą. Ale o czym my właściwie rozmawiamy. Mariola była mi kimś bardzo bliskim i nie istniał żaden powód.

- Powody bywają bardzo różne - wtrącił Kozera. - A co się tyczy tych wyrobionych mięśni, o których pan wspominał, to może to być bardzo zręczny kamuflaż.

- Kamuflaż?

- Tak. Bywają takie wypadki, że ktoś popełnia zbrodnię celowo w sposób prymitywny, żeby go nie podejrzewano. Dotyczy to specjalnie ludzi wybitnie inteligentnych, a nawet obznajomionych z zagadnieniami kryminalistyki. Habner spojrzał ponuro.

- Koniecznie chce mnie pan pogrążyć.

Kozera potrząsnął głową.

- Nie mam zamiaru pana pogrążyć. Moim obowiązkiem jest wyłącznie wykrycie prawdy.

Habner wyjął nowego papierosa i zaczął go ugniatać w palcach.

- A czy pan, panie poruczniku, nie usiłuje sobie ułatwić pracy?

- Ułatwić?

- Oczywiście. Przecież to najprostsza koncepcja, że to ja



zabiłem Mariolę. Fakty w pewnym sensie przemawiają przeciwko mnie, więc ma pan gotowego mordercę i sprawa z głowy.

Kozera poruszył się niecierpliwie.

- Jest pan w błędzie, panie Habner. - Mogę pana zapewnić, że nigdy nie idę po linii najmniejszego oporu. To samo mogę powiedzieć o wszystkich moich kolegach. Może pan być pewien, że sprawa zostanie wszechstronnie zbadana, gruntownie przeanalizowana i, jeżeli pan z tą zbrodnią nie ma nic wspólnego, na pewno nie spotkają pana żadne przykrości.

- Bardzo bym sobie życzył, żeby pańskie słowa się sprawdziły - westchnął Habner. - Ja naprawdę nie mam nic wspólnego ze śmiercią Marioli. Kochałem ją.

Kozera odsunął od siebie kalendarz i uważnie spojrzął na swego rozmówcę.

- A teraz jeszcze jedna sprawa. W pańskim garażu w specjalnym schowku znaleziono ślady heroiny.

Habner podskoczył na krześle.

- Jeszcze i w to chce mnie pan zrobić? W narkotyki?

- Nie mam zamiaru w nic pana wrabiać - powiedział spokojnie Kozera. - Powtarzam tylko to, co mi przekazali moi koledzy z Wybrzeża.

- To jakieś nieporozumienie. Jakaś pomyłka.

- Nie ma mowy o żadnej pomyłce. Ta odrobina proszku została zbadana laboratoryjnie. Nie ulega wątpliwości, że to heroina.

- Przecież ja nie handluję narkotykami!

- Więc w takim razie skąd się wzięły w pańskim garażu te drobiny?

- Nie mam pojęcia. Ja w ogóle z tego jakiegoś schowka nie korzystałem. Z garażu właściwie także rzadko korzystałem. Przeważnie zostawiałem wóz w ogrodzie.

- No więc skąd ta heroina? - nalegał Kozera.

- Nie wiem. Daję słowo honoru, że nie wiem. Zaraz... zaraz. Ja tę willę kupiłem jakieś półtora roku temu od faceta, który wyjeżdżał na stałe do Niemiec Zachodnich. Może on...?

- Może - zgodził się bez przekonania Kozera. - Sprawdzimy.

- Czy mogę już pana pożegnać? - spytał Habner. - Wydaje mi się, że wszystko już zostało wyjaśnione.

Kozera pokręcił głową.

- Niestety, panie inżynierze. Bardzo żałuję, ale zmuszony jestem zatrzymać pana do dyspozycji prokuratora.

- Aresztuje mnie pan?! - wykrzyknął oburzony. - To jest bezprawie! To jest skandal! Pan sobie chyba nie wyobraża z kim pan ma do czynienia!

- Może spróbuje się pan uspokoić - zaproponował Kozera. Jako człowiek inteligentny, zdaje pan sobie chyba sprawę, że fakty obciążające pana w sprawie zabójstwa Marioli Nasielskiej są wiele mówiące i właściwie dosyć trudne do podważenia.

- Żeby oskarżać kogoś o popełnienie morderstwa trzeba mieć na to dowody.

- W obecnej chwili nie jest pan oskarżony - sprostował Kozera. - Jest pan podejrzany o popełnienie tego czynu, a to duża różnica.

- Na jakiej podstawie pan mnie podejrzewa?

- Panie inżynierze... nie bądźmy dziećmi - uśmiechnął się Kozera. - Niech pan postara się obiektywnie spojrzeć na sytuację. Spędza pan dwa dni ze swoją przyjaciółką

w willi nad morzem. Wyjeżdża pan około północy, a rano znajdują trupa dziewczyny w morzu. Sekcja wykazuje, że nie było to przypadkowe utonięcie w czasie kąpieli. Czy według pana te fakty nie są wystarczające, żeby pana

podejrzewać o popełnienie tej zbrodni?

- Na miłość boską! Przecież musi istnieć jakiś motyw.

Nie miałem najmniejszego powodu, żeby zabijać Mariolę - powiedział zdecydowanie Habner.

- Motywacją także się zajmiemy - zapewnił go Kozera.

- Dochodzenie jest w stadium początkowym. Niewiele jeszcze wiemy.

Czarne włosy o aksamitnym połysku upięte w wysoki kok, ozdobiony dużym szylkretowym grzebieniem. Podobna była raczej do hiszpańskiej tancerki, aniżeli do lekarki. Duże, ciemne oczy, osadzone dość głęboko pod gęstymi brwiami, błyszczały gniewnie. Pełne, starannie usz-minkowane wargi

szpecił pogardliwy grymas.

- Zupełnie nie rozumiem czego pan chce ode mnie, panie... panie milicjancie.

- Może się pani do mnie zwracać per „panie kapitanie” - wyjaśnił Rosicki.

Niecierpliwie machnęła ręką.

- Mniejsza z tym. Nieważne. A więc, panie kapitanie, o co właściwie panu chodzi?

- Pragnę pani zadać kilka pytań.

- Nie widzi pan jaka pogoda? O tej porze powinnam już być na plaży.

- Jeszcze pani zdąży. Nie zajmę pani dużo czasu. Pani mieszka w Sopocie w domu siostry?

- Tak. Chwilowo.

- Ile osób zajmuje ten dom?

- Tylko ja i siostra.

- Siostra pani nie jest zamężna?

- Jest wdową. Mąż jej zmarł na raka dwa lata temu.

- Czy obecnie siostra pani jest w Sopocie?

- Nie. Wyjechała do Warszawy. Ma tam jakieś sprawy do załatwienia.

- Kiedy wyjechała?

- Zaraz... zaraz... chwileczkę. Niech sobie przypomnę.

Chyba w niedzielę. Tak, tak... na pewno w niedzielę. Jeszcze mówiła, że od poniedziałku zacznę biegać po urzędach.

- I pani przez cały ten czas mieszka sama?

- A z kimżeż miałabym mieszkać? Jak się panu zdaje? Chłopczyków sobie nie sprowadzam.

Rosicki nie zareagował.

- Proszę mi powiedzieć, co pani robiła wieczorem i w nocy z jedenastego na dwunastego lipca, czyli z poniedziałku na wtorek?

- A cóż mogłam robić? Spałam. Ja w nocy zazwyczaj śpiam.

- Nie była pani u jakichś znajomych na przyjęciu, na brydżu?

Zaczęła się śmiać. Śmiała się tak długo, aż jej oczy zaszkły łzami. Wyjęła z torebki chusteczkę.

- Ach teraz już rozumiem, po co mnie pan tutaj ściągnął. Podejrzewa mnie pan, że to ja zamordowałam kochankę mojego męża. Doskonały kawał.

- O nic pani nie podejrzewam - powiedział spokojnie Rosicki. - Staram się tylko ustalić pewne fakty.

Nie przestawała się śmiać.

- Nie, panie... Niezmiernie żałuję, ale nie mogę panu przedstawić alibi. Ostatnio sypiam sama. A teraz nawet i moja siostra wyjechała. Pomimo braku alibi mogę pana jednak zapewnić, że nie zabiłam tej dziewczyny.

- Czy pani akceptowała tę sytuację, że mąż pani i Mariola Nasielska... ?

Twarz jej stężała, nabierając groźnego wyrazu. Pani Habnerowa należała do tych osób, które błyskawicznie przechodzą z jednego nastroju w drugi, diametralnie przeciwny.

- A pana co to obchodzi? To są moje prywatne sprawy.

- Proszę mi wybaczyć tę niedyskrecję - usprawiedliwił się Rosicki - ale zostało popełnione morderstwo. Sprawa bardzo poważna. Zmuszony jestem zdobyć jak najwięcej informacji dotyczących najbliższego otoczenia Marioli Nasielskiej .

Habnerowa wydeła wargi.

- Ja nigdy nie należałam do „najbliższego otoczenia” tej dziewczyny. Proszę mi takich rzeczy nie sugerować.

- Ale pani mąż był z nią ściśle związany - zauważył Rosicki.

- No to co z tego? - zrobiła się agresywna. - Ja od dawna nie mam nic wspólnego z moim mężem.

- A ta willa w Sopocie jest własnością pani męża czy wspólną?

- No ja też sporo forsy w to władowałam.

- I korzysta pani czasem z tej willi?

- Oczywiście. A dlaczego miałabym nie korzystać?

Niech mu się nie zdaje, że wszystko zabierze dla siebie, willę, samochód, mieszkanie w Warszawie. Nie mam zamiaru być taką wspaniałomyślną, żeby mu wszystko oddać.

- To prawdopodobnie ma pani klucze od tej willi?

- Mam.

- Dawno pani z niej korzystała?
- W maju. Byłam chyba z dziesięć dni.
- Sama pani pojechała nad morze?
- A pan ciągle z tymi swoimi idiotycznymi pytaniami.

Co to pana właściwie obchodzi? Sama, nie sama. A zresztą... Jeżeli to pana tak szalenie interesuje, to proszę sobie wyobrazić, że nie pojechałam wtedy do Sopotu sama. Ze znajomym Syryjczykiem. Bardzo wykształcony i interesujący młody człowiek. Niech pan jednak nie przypuszcza, że coś między nami... Absolutnie nic. Dla mnie mężczyzna musi mieć zupełnie białą skórę. Może być oczywiście opalony, ale... Żadni Murzyni, mulaci, Arabowie, Japończycy nie interesują mnie. Uznaję tylko białą rasę.

- Czy pani wtedy, w maju, pojechała do Sopotu pociągiem?

- Nie. Samochodem. Wzięłam wóz męża. On w tym czasie wyjechał na parę tygodni za granicę.

- A pani Syryjczyka do mercedesa i nad morze.

- Ma mi pan to za złe?

- Ale skądże znowu - zaprzeczył z ożywieniem Rosicki.

- Dlaczegoż miałbym mieć pani za złe?

Wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem. Po panu wszystkiego można się spodziewać, sądząc z naszej dotychczasowej rozmowy.

- Czy powiedziała pani mężowi, że brała pani jego wóz?

- Oczywiście. Dlaczegoż miałabym nie powiedzieć?

- I o Syryjczyku pani wspomniała?

- A to w jakim celu? Cóż mojego męża mogą obchodzić moi znajomi?

- Czy ten pani Syryjczyk przez cały czas przebywał w Sopocie?

- Nie. Jeździł sobie po Wybrzeżu. Był w Gdańsku, w Gdyni, zdaje się, że pojechał także do Szczecina.

- Czy pani mu towarzyszyła?

- Nie. jakoś mi się nie chciało ruszać. Byłam wtedy bardzo zmęczona. Miałam w szpitalu dużo pracy.

- Czy można wiedzieć jaka jest pani specjalność?

- Jestem chirurgiem.

- A ten Syryjczyk kim był z zawodu?
- Archeologiem.
- Interesująca nauka.
- Pasjonująca. Gdybym nie skończyła medycyny, to także chyba studiowałabym archeologię.
- Czy ten archeolog odbywał wycieczki po Wybrzeżu pociągiem czy samochodem?
- Samochodem, oczywiście. Dawałam mu mój wóz, a raczej wóz mojego męża.
- Nie sądzę, żeby pani mąż był tym zachwycony, uśmiechnął się Rosicki.
- Nie wtajemniczałam go w te szczegóły, Samochód jest po to, żeby nim jeździć. Rosicki pokiwał głową.
- Niewątpliwie. Samochód jest po to, żeby nim jeździć. Zupełnie słuszna uwaga. Czy może jeszcze komuś pożyczała pani wóz męża?
- Nie. W każdym razie nie przypominam sobie.
- Więc co do tego nie ma pani pewności?
- Leniwym ruchem dotknęła ręką włosów, jakby chciała sprawdzić, czy fryzura jest w porządku.
- Wie pan co, panie kapitanie? Będę z panem zupełnie szczerą. Zaczyna straszliwie nudzić mnie ta rozmowa. Czy pożyczyłam komuś wóz, czy nie pożyczyłam? A bo ja wiem? Może kiedyś, dawno. Czyż muszę takie rzeczy pamiętać? Proszę mnie nie męczyć.
- Obiecuję, że będę się streszczał - powiedział uprzejmie Rosicki. - Chciałbym tylko jeszcze zapytać, czy pani ma przy sobie klucze do tej willi?
- Przy sobie nie mam. Mam w domu.
- Chciałbym zobaczyć te klucze. Czy nie zrobiłoby to pani różnicę?
- Wzruszyła ramionami.
- Jeżeli koniecznie panu na tym zależy...
- Mam tutaj wóz. To nie potrwa długo.
- Pojechali.

Okazało się jednak, że pani Habnerowa nie mogła znaleźć kluczy do willi.

- Nie nie rozumiem, zupełnie nie nie rozumiem - mówiła zdenerwowana. - Miałam je przecież w walizce. - Co się z nimi mogło stać?

- A może zostawiła pani klucze w Warszawie? - podsunął Rosicki.

Energicznie zatrzepotała rękami.

- Ależ nie, nie. Miałam je na pewno tutaj. Pokazywałam nawet siostrze. Myślałam o tym, żeby po wyjeździe Roberta i tej dziewczyny, pobyć tak kilka dni w takiej całkowitej samotności. Bardzo kocham moją siostrę, ale chwilami nuży mnie jej obecność.

- Więc pani jest zupełnie pewna, że zabrała pani z Warszawy klucze od tej willi?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Mogę przysięgać.

- Gdzież się one podziały?

- Nie mam pojęcia.

- A może siostra pani gdzieś je schowała?

- Wykluczone. Moja siostra nigdy nie zagląda do mojej walizki. Pod pewnymi względami jest osobą bardzo pedantyczną.

Poszukiwanie kluczy trwało jeszcze dłuższy czas, jednak bez rezultatu. Przy tej okazji Rosicki zwiedził całe mieszkanie. Nic interesującego jednak nie spostrzegł. Zwrócił jego uwagę jedynie wełniany, sportowy krawat w dużą czerwono-szarą szkocką kratę. To nie był krawat nadający się do jakiejś damskiej kreacji. Najwidoczniej pani Habnerowa i jej siostra nie były tak zupełnie pozbawione męskiego towarzystwa.

- Musiał mi ktoś ukraść, musiał mi je ktoś ukraść -powtarzała Habnerowa.

Rosicki z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Czy jest pani pewna, że przez cały czas pobytu w Sopocie klucze od willi były w pani walizce?

- Oczywiście, że jestem pewna. Raz je wyjmowałam i pokazywałam siostrze. - Zawahała się. - Bo ja wiem...

Być może, że wtedy położyłam je gdzieś, na stoliku czy na szafce. Ale w każdym razie nie powinny były zginąć. To jakaś tajemnicza sprawa.

- Tak czy inaczej doradzałbym poszukać jeszcze w warszawskim mieszkaniu.

- Uważa mnie pan za taką sklerotyczkę, że nic już nie pamiętam?

## Rozdział IV

Rosicki pojechał do Warszawy. Porozumiał się telefonicznie z Kozera i obaj doszli do wniosku, że muszą szczegółowo omówić sprawę i zsynchronizować dalszą akcję. Siedzieli teraz w komendzie przy bocznym stoliku, a w szklankach stygła kawa, którą nie mieli czasu się zająć.

- To co mówisz, Władku, jest bardzo interesujące - powiedział Kozera, zapalając kolejnego papierosa.

- Sprawa nam się trochę komplikuje. Powiedz mi..., ale tak z ręką na sercu, czy uważasz, że możemy stawiać na narkotyki?

Rosicki wzruszył ramionami, wypił łyk chłodnej kawy i skrzywił się.

- Diabli wiedzą. Pewne poszlaki na to by wskazywały, ale... Ponieważ Habnerowa pożyczała wóz jakiemuś Syryjczykowi, to nie możemy mieć pewności, czy Habner ma w ogóle coś z tym wspólnego.

- Masz rację - zgodził się Kozera. - Jeżeli chodzi o narkotyki możemy mieć wątpliwości, ale jeżeli chodzi o zabójstwo tej dziewczyny... Czy wiesz, że przeszukaliśmy dokładnie wóz Habnera i znaleźliśmy w błotnikach ślady heroiny i klucze od jego willi w Sopocie?

Rosicki aż podskoczył.

- Nie bujaj!

- Słowo ci daję. Habner sam stwierdził, że to klucze od jego willi w Sopocie.

Rosicki przeciągnął dłonią po czole.

- Nieprawdopodobne. Co to wszystko, u diabła, znaczy? Wyjeżdża facet do Warszawy, zostawia dziewczynę, zamyka



willę i zabiera klucze. Jak on to tłumaczy?

- Wcale nie tłumaczy. Twierdzi, że klucze zostawił dziewczynie. Stanowczo zaprzecza, jakoby zabrał je ze sobą. Rosicki znowu napił się trochę kawy.

- Można by przypuszczać, że chciał upozorować wyjazd dziewczyny razem z nim.

- Oczywiście - zgodził się Kozera. - Ale jeżeli zabił ją, to działał niesłychanie głupio. A facet nie wygląda na idiotę. Przecież o wiele bezpieczniej było stuknąć ją gdzieś w le-sie i zakopać. A topić w morzu... Zupełny nonsens.

- Mimo wszystko typujesz go na mordercę? - spytał Rosicki.

- Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Mam zupełny mętlik w głowie. Poszlaki są bardzo poważne.

- Zapominasz o Habnerowej. Nie powiem, żebym był zachwycony tą babą. Jako kobieta owszem, owszem, ale... Wydaje mi się, że z powodzeniem mogła wykończyć tę piosenkarkę. W żaden sposób nie mogła znaleźć kluczy do willi. Niewykluczone, że je podrzuciła mężowi do wozu, żeby go pogrążyć.

Kozera pokiwał głową.

- Rozumujesz prawidłowo. Tylko trudno sobie wyobrazić, żeby Habnerowa zdołała namówić tę dziewczynę na nocną kąpiel w morzu. To mi raczej wygląda na jakąś romantyczną eskapadę. A więc mężczyzna... Chyba, że... Rosicki zapalił papierosa i zamyślił się. Po chwili spytał:

- Czy jesteś skłonny kojarzyć sobie zabójstwo Marioli Nasielskiej z zamordowaniem tego krawca?

- A ty masz jakieś wątpliwości? Bo ja nie. Moim zdaniem te dwie sprawy zazębiają się zupełnie wyraźnie.

- Pod warunkiem, że o tę samą Mariolę chodzi - zauważył Rosicki. - Jakbyś się zapatrywał, Jasiu, na to, żebyśmy we dwóch pogawędzili jeszcze z Habnerem?

- Nie zgłaszam sprzeciwu.

Habner nie był w dobrej formie. Stracił cały swój pierwotny tupet i pewność siebie. Robił wrażenie człowieka zrezygnowanego, przygotowanego na najgorsze. Rozmowa z adwokatem, który podjął się obrony, nie nastroiła go

optymistycznie.

- Więc w dalszym ciągu utrzymuje pan, że nie zabrał kluczy od willi w Sopocie? - zaczął Kozera.

Habner ziewnął dyskretnie.

- Panie poruczniku... Już chyba dziesięć razy mówiłem, że nie zabrałem ze sobą tych kluczy.

- Skąd się wobec tego wzięły w pańskim wozie?

- Nie mam pojęcia. Ja ich tam nie kładłem.

- A kto mógł je tam położyć? Jak pan sądzi?

- Nie wiem.

- Czy pańska żona ma klucze od tej willi? - wtrącił się do rozmowy Rosicki.

- Ma.

- A czy rozpoznałby pan, które klucze są pańskie, a które żony?

- Raczej nie. Klucze są identyczne. A ja kupiłem taką taśmę, przeciąłem ją na pół i na jeden kawałek nawlokłem klucze żony, a na drugi moje. Początkowo chciałem kupić kółka metalowe, ale nie znalazłem takich dużych. Zresztą chyba na żadne kółko te klucze by nie weszły.

Rosicki pokiwał głową.

- Nawłókł pan klucze na taśmę.

-Tak.

- A jaka to była taśma?

- Zwyczajna. Taka... Jakby tu określić? Zwyczajna taśma.

- Może mógłby pan odróżnić taśmę, na którą były nawleczone pańskie klucze, od taśmy, na której były klucze żony?

- To była ta sama taśma.

- Niech się pan dobrze zastanowi.

Habner przeciągnął dłonią po nieogolonych policzkach.

- Zaraz... zaraz... chwileczkę... niech pomyślę. Aha...

Tak... Teraz sobie przypominam. Taśmę, na którą były nawleczone moje klucze, powalałem w jednym miejscu smarem. Pamiętam, że próbowałem wyczyścić, ale w końcu machnąłem ręką. Ostatecznie to nie takie ważne. Mała plamka.

Kozera otworzył szufladę biurka i wyjął z niej pęk kluczy

nawleczonych na białą, przybrudzoną już trochę taśmę.

- Nie widzę tu żadnych śladów smaru - powiedział i posunął klucze po blacie biurka. - Może pan zobaczy.

Habner wyciągnął rękę i uważnie obejrzał taśmę.

- Rzeczywiście. Nie ma tej plamki. A przecież dokładnie sobie przypominam, że była. Nie rozumiem.

Kozera z powrotem schował klucze do szuflady.

- Z tego by wynikało, że to są klucze pańskiej żony.

Habner skinął głową.

- No... chyba tak. Nie wiem...

- A może miał pan trzeci komplet kluczy?

- Nie. Były tylko dwa komplety. Jeden ma moja żona, a drugi ja.

- Czy istnieje taka możliwość, że pańska żona zostawiła w wozie swoje klucze?

- To mało prawdopodobne. Pan twierdzi, panie poruczniku,

że te klucze zostały znalezione na tylnym siedzeniu. Byłbym chyba spostrzegł. A poza tym moja żona bardzo dawno nie korzystała z samochodu. Zresztą miała zamiar pomieszkać kilka dni w willi, więc na pewno zabrała ze sobą klucze.

- W jaki sposób wobec tego klucze żony znalazły się w pańskim wozie?

Habner w bezradnym ruchu rozłożył ręce.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Czy pańska żona ma drugi komplet kluczyków do wozu?

- Ma. Oczywiście. Dałem jej. Co prawda przeważnie ja jeżdżę, ale czasami... Nie mogę przecież żonie zabronić.

Wóz jest właściwie naszą wspólną własnością.

Kozera zwrócił się do Rosickiego.

- Czy masz może jeszcze jakieś pytania?

- Nie. Na razie nie mam pytań.

Po wyjściu Habnera, Rosicki wypił resztę zupełnie zimnej kawy i zapalił papierosa.

- Powiedz mi, Jasiu, czy ty rzeczywiście znalazłeś te klucze na tylnym siedzeniu?

- To nie jest zgodne z prawdą - uśmiechnął się Kozera.

- Powiedziałem tak Habnerowi sądząc, że może w

pierwszym odruchu zaprzeczy. Nie stało się tak jednak. A klucze znalazłem na drzwiczkach.

Rosicki zgasił w popielniczce niewypalonego papierosa.

- Dziwna historia. Z tego by wynikało, że Habnerowa podrzuciła mężowi klucze od willi. Chyba w tym celu, żeby go ostatecznie pogrążyć. Chciała, żebyśmy nabrali przekonania, że zamordował Nasielską, zamknął starannie willę i pojechał.

- Ewentualnie można wziąć pod uwagę taką hipotezę - powiedział Kozera. - Chociaż wydaje mi się to trochę wydumane. Czy miałbyś ochotę przejechać się ze mną na Saską Kępę?

- Uwielbiam krajoznawcze wycieczki. Czy można wiedzieć w jakim celu chcesz mnie wywieźć na drugi brzeg Wisły?

Kozera wsunął akta sprawy do szuflady i zamknął ją na klucz.

- Chciałbym w twoim miłym towarzystwie obejrzeć mieszkanie Marioli Nasielskiej. Co ty na to?

- Bardzo chętnie.

Dwa pokoje z kuchnią. Przysłowiowy „artystyczny” nieład. Dużo płyt, dużo nut i dużo nutowego papieru. W jednym pokoju tapczan, toaletka, stolik, etażerka, trochę książek, w drugim otwarte pianino, biurko, podręczny barek, dwa fotele, telewizor, składany stół i kilka krzeseł.

W przedpokoju szafa, a w niej sukienki, spodnie, buty, swetry, bielizna.

Szukali wszędzie bardzo dokładnie, jednakże bez rezultatu. Nie znaleźli nic specjalnie interesującego. Dopiero kiedy Kozera zajął się koszem na śmieci...

- Co tam masz? - spytał Rosicki.

- Coś, co kiedyś było niedokończonym listem.

- Interesujące.

Chyba nawet bardzo.

Rozłożyli kawałki papieru na stoliku i zaczęli je mozolnie dopasowywać. Wreszcie ułożyli tekst. „Kochany Kaziu. Wydaje mi się, że nie powinniśmy się spotykać, przynajmniej na razie. Uważaj na...” Niebieska koperta, przedarta na cztery części, zaadresowana była do Kazimierza Bednarskiego.

- Teraz już chyba nie ma wątpliwości, że to ta Mariola, o

którą nam chodzi - powiedział Kozera.

- Tak na to wygląda - przyznał Rosicki. - To duży krok naprzód. Upewniliśmy się. Ciekawe, na kogo Bednarski miał „uważać”.

Kozera otarł pot z czoła, usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

- Obawiam się, Władziu, że tego nikt nam nie powie.

Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że cała ta afera mocno pachnie narkotykami. Bednarski, Mariola Nasielska, Habner, a może Habnerowa, Ludwik, brat Bednarskiego i może jeszcze ktoś.

- Jakie masz plany na najbliższą przyszłość? - spytał Rosicki.

- Chciałbym przeprowadzić jeszcze jedno, bardziej szczegółowe przeszukanie mieszkania Bednarskiego.

## Rozdział V

Żaden mężczyzna nie przepada za takimi rozmowami, a Lowert w danej chwili nie czuł się na siłach, żeby skutecznie odpierać ataki żony. Był zmęczony i scena małżeńska znacznie przekraczała jego możliwości psychiczne. Żałował teraz, że nie przyspieszył swojego wyjazdu do Warszawy.

- Przestań chodzić, Edwardzie - powiedziała autorytatywnym tonem pani Lowertowa. Specjalnie nie użyła zwrotu „Edeczku” czy też „Edziu” chcąc, żeby to zabrzmiało bardziej oficjalnie. - I siadaj. Mam z tobą do pomówienia. Lowert usiadł posłusznie na wiklinowym ogrodowym foteliku i wyjął z kieszeni papierosy.

- Nie pal! - Zabrzmiało to jak wojskowy rozkaz.

- Jeżeli sobie nie życzysz...

- Wiesz, że nie znoszę jak mi kopcisz pod nos. Muszę z tobą, Edwardzie, pomówić.

Uśmiechnął się czarująco, co wymagało z jego strony dużego wysiłku.

- Słucham cię, Emilciu.

Zmierzyła go złym, agresywnym spojrzeniem.

- To się musi skończyć. Rozumiesz? To się musi skończyć.

- Co się musi skończyć, kochanie? - spytał, udając, że nie wie o co chodzi.

- Muszą się wreszcie skończyć te twoje romanse. Mam dosyć.

Podniósł brwi do góry.

- O czym ty mówisz? Jakie romanse?

- Nie udawaj, że nie wiesz o co mi chodzi. Przestań się zgrywać.

- Ależ ja się wcale nie zgrywam. Słowo ci daję. Jeżeli wierzysz plotkom...

- To nie są żadne plotki. Wszyscy naokoło mówią o tym, że romansujesz z Habnerową. Chyba nie zaprzeczysz.

- Owszem zaprzeczę! - dołożył wszelkich starań, żeby to zabrzmiało energicznie i przekonująco. - Zaprzeczę, bo to nieprawda. Komuś zależy na tym, żeby nas skłócić, a ty wierzysz każdemu, kto ci coś tam nagada.

Przyjrzała mu się uważnie i zaczęła nerwowo bębnić palcami po stoliku.

- Już mnie więcej na te twoje kłamstwa nie nabierzesz i radzę ci uważaj, bo jak stracę cierpliwość...

- To co? - Głos jego zabrzmiał wyzywająco - To co...? -powtórzył.

- Wiem coś niecoś na twój temat. Orientujesz się chyba. Stanowczo żądam, żeby natychmiast te wszystkie flirty i romanse się skończyły. W przeciwnym razie...

- Ależ, Emilciu, dajże spokój. Dlaczegoż my się sprzeczamy.. ?

- Ja się z tobą nie sprzecam. Ja żądam. Nie mam zamiaru dłużej być pośmiewiskiem wszystkich naszych znajomych. Najprzód ta niewydarzona piosenkarka, teraz Habnerowa, nie mówiąc już o tej Bułgarce. Dosyć! Rozumiesz, dosyć! A propos. Podobno mąż Habnerowej siedzi. Lowert wznurzył ramionami.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Podejrzewają go, że zamordował dziewczynę.

- A ty skąd masz takie wiadomości?

- Dzwoniła do mnie Ziułka. Wiesz chyba, że jej brat jest adwokatem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Marcysia.

- Proszę pana... przyszedł jakiś milicjant.

Lowert wstał.

- Milicjant? Jaki znowu milicjant? Czego chce? Dziewczyna wzruszył ramionami.

- A skądże ja mogę wiedzieć. Nie do mnie przyszedł tylko do państwa, a czego chce nie powiedział. Oficer.

- Poproś go tutaj.

Wszedł Rosicki. Był opalony, radośnie uśmiechnięty. Robił wrażenie człowieka zadowolonego z siebie i z otaczającego go świata. Ukłonił się z nieco przesadną uprzejmością.

- Dzień dobry państwu.

- A, pan kapitan - rozpromienił się Lowert. - To miło, że pan nas odwiedził. Prosimy, niechże pan siada.

Rosicki usiadł ostrożnie na filigranowym wyściełanym krzeselku, mającym zapewne imitować jakiś antyk.

- Przepraszam, że państwa niepokoję o tak wczesnej porze, ale...

- Cóż znowu - przerwał mu z ożywieniem Lowert. - Pora wcale nie jest taka wczesna. Właśnie myśleliśmy o filiżance dobrej kawy. Napiłby się pan z nami?

Rosicki energicznie potrząsnął głową.

- Bardzo dziękuję, ale właśnie przed chwilą zaaplikowałem sobie sporą dawkę kofeiny. Na jakiś czas powinno mi to wystarczyć.

- Wobec tego któregoś innego dnia musi pan do nas wpaść na kawę - uśmiechnęła się Lowertowa. - Podobno parzenie kawy to moja specjalność. Dostałam kiedyś przepis od jednej znajomej Włoszki.

- Czy pan w dalszym ciągu zajmuje się sprawą tragicznej śmierci tej biednej piosenkarki? - zapytał Lowert. Rosicki przelotnym spojrzeniem przesunął po eleganckim krawacie w szkocką, szaro-czerwoną kratę.

- Oczywiście, że się tym zajmuję. Sprawa nie jest, jak dotąd, wyjaśniona. Właśnie chciałbym państwa prosić o pewne dodatkowe szczegóły.

- Sądziłem, że wszystko żeśmy już omówili - uśmiechnął się

Lowert. - Ale jeżeli możemy w czymś panu pomóc, to bardzo chętnie.

- Chodzi o drobiazgi bez większego znaczenia. Chcę mieć jednak możliwie jak najpełniejszy materiał i dlatego...

- Doskonale rozumiem - Lowert wyjął z kieszeni papierosy.

- Zapali pan, kapitanie?

- Bardzo chętnie, jeżeli oczywiście pani pozwoli.

Lowertowa uśmiechnęła się.

- Ależ, bardzo proszę. Mnie dym nie przeszkadza.

Wprawdzie...

- A więc słuchamy - przerwał pospiesznie Lowert. - O jakie wyjaśnienia panu chodzi?

Rosicki poprawił się na krzeselku, które zaskrzyphiało niepokojąco.

- Chciałbym ustalić czy państwo razem przyjechali do Sopotu.

Lowert z prawdziwą przyjemnością zaciągnął się głęboko dymem.

- Nie bardzo rozumiem do czego panu może być potrzebna ta wiadomość, ale to przecież żadna tajemnica. Ja przyjechałem tutaj wcześniej, a moja żona chyba dopiero po tygodniu. Dokładnie nie pamiętam.

- A pani kiedy przyjechała?

Poruszył nieznacznie ramionami.

- Trudno mi sobie przypomnieć. Nie prowadzę pamiętnika. Ale... zaraz... zaraz. Przyjechałam chyba tego dnia z samego rana, kiedy zauważyliśmy podczas spaceru zwłoki tej dziewczyny w morzu.

- To był wtorek, dwunastego.

Lowert wyjął z kieszeni kalendarzyk.

- Zgadza się. Moja żona przyjechała do Sopotu we wtorek rano dwunastego. Mam to zanotowane w moim terminarzu. Na wszelki wypadek zapisałem, żeby nie zapomnieć zrobić sprawunków na przyjazd żony.

- Mój mąż jest bardzo troskliwy - uśmiechnęła się Lowertowa.

- Dbą o to, żeby mi na niczym nie zbywało. Idealny mąż.



- Nie rób mi takiej reklamy - mruknął Lowert. - Pana kapitana to nie interesuje. Czy możemy panu służyć jeszcze jakimiś wyjaśnieniami?

Rosicki zgasił papierosa i znowu spojrzął na szaro-czerwony krawat, który był niewątpliwie zagranicznego pochodzenia.

- Pan zdaje się zna pana Habnera.

- Znam - padła niezbyt uprzejma odpowiedź. - Mam wrażenie, że pan mnie już o to pytał podczas naszej pierwszej rozmowy.

- Być może - uśmiechnął się przepraszająco Rosicki. -

Z tyloma ludźmi rozmawiałem, że czasami mogę się powtarzać. Proszę mi wybaczyć. Jakie stosunki łączą pana z panem Habnerem?

- Wyłącznie służbowe. Spotykaliśmy się od czasu do czasu w sprawach handlowych.

- Pan Habner jest podejrzany o zamordowanie Marioli Nasielskiej, tej piosenkarki.

- Słyszałem.

- Od kogo pan słyszał?

- Od mojej żony.

Rosicki wesoło spojrzął na Lowertową.

- O, widzę, że pani jest świetnie poinformowana.

- Brat mojej przyjaciółki jest adwokatem - wyjaśniła.

- Dzwoniła do mnie, że podjął się obrony Habnera.

Rosicki znowu zwrócił się do Lowerta.

- O ile sobie przypominam, to z naszej pierwszej rozmowy wynikało, że pan znał tragicznie zmarłą Mariolę Nasielską.

- Bardzo pobieżnie.

- Oj, chyba nie tak bardzo „pobieżnie” - wtrąciła Lowertowa.

Lowert ze złością spojrzął na żonę.

- Przestań wreszcie z tymi idiotycznymi insynuacjami. Zresztą pana kapitana zupełnie nie interesują tego rodzaju plotki.

- Interesuje mnie wszystko, co dotyczy Marioli Nasielskiej - powiedział Rosicki. - Niestety w moim zawodzie człowiek czasami musi być niedyskretny.

Z pełnej żywiołowego temperamentu Hiszpanki nie zostało ani śladu. Tym razem Habnerowa wystąpiła w roli rafaelowskiej madonny. Rozpuszczone włosy, omdlewające spojrzenia, oczy wznoszące się od czasu do czasu ku niebu, leciutkie trzepotanie rzęs. Luźna, błękitna suknia, skromnie zapięta pod szyją, ściągnięta była złotym paskiem.

- Cieszę się, że pana znowu widzę, panie kapitanie - powiedziała nastrojowym głosem.

Rosicki pomyślał, że powinna była zostać aktorką, a nie lekarką. Pozy, jakie przybierała ta dama. Stanowczo nie pasowały do sali operacyjnej i do lancetu.

- Proszę mi wybaczyć, że panią znowu niepokoję...

- Ależ cóż znowu - przerwała z ożywieniem. - To miło, że mnie pan odwiedził.

- Siostra pani nie wróciła z Warszawy?

- Nie. Jakieś sprawy jeszcze ją zatrzymały. Jesteśmy w kontakcie telefonicznym.

- Czy nie znalazła pani tych kluczy do willi?

Ożywiła się.

- Niech pan sobie wyobrazi, że dokładnie przeszukałam cały dom i nie znalazłam. To coś zdumiewającego.

- Może jednak zostawiła je pani w Warszawie?

- Wykluczone. A zresztą prosiłam siostrę telefonicznie, żeby poszukała w naszym warszawskim mieszkaniu, i także nie znalazła.

- To siostra pani zatrzymała się w Warszawie w mieszkaniu państwa?

- Tak. Dałam klucze. Mieszkanie stoi puste, więc...

- Zdaje się, że pani zna pana Edwarda Lowerta.

- Znam i jego, i jego żonę.

- Czy pan Lowert ostatnio odwiedzał panią tutaj podczas nieobecności siostry?

- Czy uważa pan to za coś złego, że ktoś ze znajomych przyjdzie do mnie na szklankę herbaty?

Rosicki pomyślał, że aby napić się herbaty, niekoniecznie trzeba zdejmować krawat, nie zdradził się jednak z tą refleksją.

- Ależ bynajmniej. Uważam to za rzecz zupełnie naturalną.

Czy pani uprawia sporty?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Sporty? Owszem. Pływam, wiosłuję, jeżdżę konno, czasami grywam w siatkówkę.

- Dobrze pani pływa?

- Dobrze. Dlaczego pan pyta?

- Tak sobie. Żeby podtrzymać rozmowę.

Westchnęła i podniosła ku sufitowi rozmarzone spojrzenie.

- Tyle jest ciekawszych tematów, panie kapitanie.

„Chyba na mnie leci” - zaniepokoił się Rosicki.

- Czy z państwem Lowertami utrzymuje pani bardziej zażyłe stosunki towarzyskie?

Zawahała się.

- No... Bo ja wiem. Raczej rzadko się widzujemy. Widzi pan... Emilia jest chorobliwie zazdrosna o męża. Wolę więc nie stwarzać kłopotliwych sytuacji.

- Czy państwo Lowertowie to ludzie zamożni?

- Nie zaglądam nikomu do kieszeni - odparła opryskliwie porzucając na chwilę rolę madonny.

- Och, ja nie w tym znaczeniu - zaczął usprawiedliwiać się Rosicki.

Znowu westchnęła, a w tym westchnieniu wyczuwało się cierpliwą rezygnację.

- Ostatecznie to żadna tajemnica. Jeżeli panu tak bardzo zależy... to mogę powiedzieć, że Edwardowi, to znaczy panu Lowertowi powodzi się finansowo ostatnio bardzo dobrze.

- Ostatnio? - podchwycił Rosicki.

- Tak. Dawniej żyli o wiele skromniej.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, od kiedy datuje się ta prosperity pana Lowerta?

Poruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Chyba od jakichś dwóch lat, a może trochę dawniej. Trudno mi tak dokładnie...

- Oczywiście, oczywiście - przerwał Rosicki. - Czy nie interesowała się pani, jakie są źródła tych dodatkowych dochodów pana Lowerta?

Zachnęła się.

- Jak pan sobie to w ogóle wyobraża? Czyż wyglądam na kobietę, która wtrąca się do cudzych spraw finansowych?

- Sądziłem, że jako przyjaciółka pana Lowerta...

- Jak pan śmie? rafałowska madonna przeobraziła się w jednej chwili w rozwścieczoną furię. Ciemne oczy zabłysły groźnie, policzki pociemniały nabiegłą krwią. - Jak pan śmie?! Co oznaczają te insynuacje? Proszę natychmiast opuścić mój dom!

„Trafiłem w dziesiątkę” - pomyślał Rosicki i wstał. - Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy pani ma przy sobie kluczyki do wozu?

Drżącymi z podniecenia rękami otworzyła torebkę i wyjęła kluczyki.

Rosicki uważnie je obejrzał i położył na stoliku.

- Dziękuję pani i przepraszam za taką niespodziewaną wizytę.

Siedziała chmurna ze zmarszczonymi brwiami. Nie odprowadziła go do drzwi.

Rosicki siedział przy biurku i porządkował akta sprawy oraz robił notatki przeznaczone dla Kozery. Pogwizdywał przy tym dosyć fałszywie arię z „Carmen”. Był zadowolony z siebie. Wydawało mu się, że zarówno rozmowę z Lowertami, jak i z Habnerową przeprowadził bezbłędnie. Zdobył sporo materiału, który mógł być pomocny w śledztwie.

Wszedł sierżant Kazimierczak.

- Obywatelu kapitanie, przysłała pani Lowertowa. Chce rozmawiać. Mówi, że to ważne.

Rosicki podniósł wzrok znad papierów.

- Lowertowa? Prosić.

Weszła zdecydowanym, energicznym krokiem. Drobne, delikatne rysy twarzy były ściągnięte nieprzyjemnym grymasem. Nie wyciągnęła ręki na powitanie. Przysunęła krzesło i usiadła.

- Pragnę złożyć zeznanie.

- Zeznanie? - zdziwił się Rosicki. - Proszę bardzo. Co pani chciałaby zeznać?

- Mój mąż ma powiązania z handlarzami narkotyków.

- O, czy być może?

- Pan mi nie wierzy?

Rosicki chrząknął i wziął do ręki długopis, wyjął też z szuflady arkusz czystego papieru.

- Widzi pani... To jest bardzo poważne oskarżenie. Żeby słowa pani potraktować poważnie, musiałbym mieć jakieś konkretne dowody.

- Nie wystarczy, że ja panu to mówię?

- Bardzo żałuję, ale nie wystarczy. Może mi pani zechce powiedzieć, na czym pani opiera tego rodzaju stwierdzenie.

- Na faktach.

- Na jakich faktach?

- A pan myśli, że skąd Edward bierze na to wszystko?

Z tej swojej pensyjki? Co roku nowy wóz, coraz droższy. Dacza nad Zalewem Zegrzyńskim. Willa w Komorowie. Teraz wynajął dom w Sopocie na cały sezon. A te wszystkie dziwki to pan myśli, że mało kosztują? Prezenty, złote wyroby, zegarki. Dzisiaj znowu spał u Habnerowej. Chciał mnie napić podwójną dawką „Reladormu”. Myślał, że wypłam, i że jak kamień będę spała do rana. Ale mnie nie tak łatwo nabrać.

- To co pani mówi, bynajmniej nie świadczy o tym, że mąż pani handluje narkotykami. Może mieć jakieś inne źródła dochodów.

Przysunęła krzesło bliżej biurka.

- Jak mi pan nie wierzy, to niech się pan zapyta tego mordercy.

- O kim pani mówi?

- No o tym facecie co tu zamordował tę kurewkę. Przecież siedzi. Możecie go przesłuchać.

- Ma pani na myśli Habnera.

- No chyba. Przecież to on kombinował z Edwardem. Przeszukajcie jego willę i garaż. Sprawdźcie dokładnie jego wóz. W błotnikach przemycali. Nie jest wykluczone, że ta dziwka z nimi współpracowała. Może zaczęła szantażować Habnera i chciał się jej pozbyć. Poszedł się z nią kąpać i przytrzymał pod wodą. To nie taka sztuka.

Rosicki zaczął żałować, że nie włączył magnetofonu.

- Czy pani sądzi, że mąż pani romansował z Mariolą

Nasielską?

Wybuchnęła gwałtownym, histerycznym śmiechem.

- Czy sądzę? Jest pan zabawny. Oczywiście, że Edward się gził z tą kurwą, która udawała „sławną” artystkę.

- Czy pani jest tego pewna?

- Bardzo pana przepraszam, ale to głupie pytanie.

Rosicki uśmiechnął się.

- O ile się orientuję, to Mariola Nasielska była przyjaciółką pana Habnera.

- Dziwny pan jest. Ta dziwka puszczała się na prawo i na lewo. Podobno żyła nawet z jakimś krawcem.

Rosicki doznał uczucia niesmaku. Wulgarny język pani Lowertowej absolutnie nie szedł w parze z jej delikatną, pastelową urodą.

- Więc pani przypuszcza, że mąż pani wspólnie z Robertem Habnerem i Mariolą Nasielską zajmował się handlem narkotykami.

- Nie przypuszczam. Mam pewność. Widziałam przecież jak ostatnio szastał pieniędzmi.

- Może miał jednak jakieś inne źródła dochodów?

- A jakież mógł mieć źródła dochodów? Wiedziałabym przecież.

- Czyżby pan Lowert zwierzał się pani, że handluje narkotykami?

Zmieszła się.

- Nie... no nie. Ale nie musiał się zwierzać. Sama się zorientowałam.

Rosicki postanowił zakończyć te rozmowę.

- Bardzo pani dziękuję, że mnie pani odwiedziła i że opowiedziała mi pani tyle ciekawych rzeczy. Sądzę, że wrócimy jeszcze do tego tematu.

Lowert nie okazywał najmniejszego zdenerwowania.

Nie robił wrażenia człowieka zaskoczonego tym, co usłyszał. Uśmiechnął się pogodnie, wyjął papierosy i przysunął sobie popielniczkę.

- Mam nadzieję, że nie bierze pan poważnie tego wszystkiego, panie kapitanie.

Rosicki przez chwilę bawił się długopisem.

- Widzi pan, panie inżynierze, nie mogę przejść do porządku dziennego nad zeznaniami pańskiej żony.

- Ależ to są brednie. Zupełny nonsens.

- Niestety, musimy sprawdzić.

- Sprawdzić co? Czy ja handluję narkotykami?

- Musimy sprawdzić - powtórzył Rosicki.

Lowert poruszył się niecierpliwie.

- Czy pan nie wie do czego jest zdolna zazdrosna kobieta? Moja żona jest zdolna oskarżyć mnie o najgorsze zbrodnie. Chce się zemścić. Rozumie pan? Chce się zemścić. Ale w końcu po tylu latach małżeństwa mam chyba prawo do jakiegoś przelotnego flirtu.

- Może zbyt częste są te pańskie przelotne flirty - zauważył Rosicki.

- Czasami tak się ułoży. To nie są rzeczy... A zresztą.

Nie ma sensu rozmawiać na ten temat.

- Czy utrzymuje pan bliższe stosunki z panią Hab-nerową?

- Jest pan niedyskretny.

Rosicki uśmiechnął się.

- To co pan powiedział uważam za potwierdzenie.

A więc zdradza pan swoją żonę z panią Habnerową.

- To są moje prywatne sprawy, które nie mają nic wspólnego z handlem narkotykami.

- A Mariola Nasielska?

- Mówi pan o tej dziewczynie, która utonęła w morzu.

- Która została zamordowana?

- Czy to już zostało stwierdzone?

- Oczywiście. Ponad wszelką wątpliwość. Dotychczas nieznany jest tylko sprawca tej zbrodni.

- Podobno posądzacie Habnera.

- Tak. Został zatrzymany.

- Przykro mi. To bardzo sympatyczny człowiek. Prawdę mówiąc nie wierzę w jego winę.

- Wspomniała mi pańska żona, że w ostatnich czasach znacznie się poprawiła pana sytuacja finansowa.

Lowert skinął głową.

- To jest zgodne z prawdą, ale mogę pana zapewnić, że moje dochody nie pochodzą z handlu narkotykami. Mniej więcej trzy lata temu otrzymałem znaczny spadek po moim stryjecznym bracie, który zmarł w Kanadzie.

- I nie powiedział pan o tym żonie?

- Nie. A dlaczego miałbym mówić? Nie mam zwyczaju zwierzać się nikomu z moich spraw finansowych, nawet najbliższej rodzinie.

- I pańska żona nie zorientowała się, że pan załatwia te wszystkie formalności spadkowe?

- Nie było jej wtedy w Warszawie. Wyjechała na dwumiesięczny pobyt do Bułgarii. Moja żona uwielbia Bułgarię.

- Pański kuzyn musiał być człowiekiem bardzo zamożnym.

- Był bardzo bogaty. Mówiono nawet o nim, że to milionowa fortuna.

- Czy pan go kiedyś odwiedzał w Kanadzie?

- Owszem. Byłem u niego chyba dwa razy. Ja nie mam zbyt dużo czasu na podróże.

- Czy do Kanady jeździł pan razem z żoną?

- Nie. Jeździłem sam. Żona jakoś nie miała na to ochoty. Ja mężczy dłuższa podróż statkiem czy też samolotem. Najchętniej podróżuje koleją.

Rosicki zadał jeszcze kilka nic nieznaczących pytań i zakończył rozmowę. Właściwie nie miał wyrobionego zdania o Edwardzie Lowercie, ale jakoś niezbyt podobał mu się ten człowiek.

Wieczorem połączył się z Kozerą i poinformował go o dotychczasowych rezultatach swojej działalności.

## Rozdział VI

Policja niemiecka zwróciła się do władz polskich z prośbą o udzielenie informacji dotyczących osoby Kazimierza Bednarskiego. Chodziło o rozpracowanie międzynarodowego gangu handlarzy narkotyków. Został zatrzymany niejaki Ludwik Bednarski, zamieszkały w Berlinie Zachodnim, który



zeznał, że współpracował bratem swoim Kazimierzem oraz Mariolą Nasielską, początkującą piosenkarką. Na zapytanie czy Robert Habner również był w to zamieszany, odpowiedziano, że takie nazwisko nie figuruje ani w rejestrach policyjnych, ani w ewidencji „Interpolu”.

Kozera postanowił przeprowadzić powtórne przeszukanie mieszkania Kazimierza Bednarskiego. Tym razem kawalerka krawca została całkowicie zdemolowana. Meble porozpruwane, szafy i szafki rozbite, nawet ściany tu i ówdzie rozkute. W pewnym momencie sierżant Wolniak schylił się i wyjął spod zerwanej posadzki jakieś zawiniątko.

- Znalazłem coś, obywatelu poruczniku.

- Co to jest? Pokażcie.

Sierżant podał plastikowy woreczek. Kozera rozwiązał go i wyjął jakieś papiery. Szyfr i różne inne materiały mogące służyć wyłącznie do działalności szpiegowskiej. Wreszcie dokładna instrukcja. Nie było wątpliwości.

Kozera usiadł i razem z sierżantem zaczęli dokładnie oglądać sensacyjne dokumenty. Obaj byli zaskoczeni tym odkryciem. Żaden z nich nie przypuszczał, że krawiec...

- Co robimy, obywatelu poruczniku? - spytał Wolniak.

- Obawiam się, że to już nie jest teren naszego działania - odparł Kozera. - teraz kto inny tym się zajmie.

Major Stachurski przypominał jakiegoś błotnego ptaka. Wysoki, bardzo chudy, miał zwyczaj kołysać się na długich, przeraźliwie cienkich nogach, na których wisały żałośnie nogawki szerokich spodni. Na wąskiej, kościstej twarzy dominował ogromny nos, podobny do dzioba czapli czy bociana. Na nosie tym tkwiły okulary w cienkiej, metalowej oprawie.

Mimo swej nieco groteskowej aparycji major Stachurski był doskonałym fachowcem, posiadał ogromne doświadczenie i chętnie go delegowano do trudniejszych spraw. Kozerego znał od dawna i uważał go za inteligentnego i bystrego pracownika. Błyskawicznie zjawił się na Senatorskiej i energicznym krokiem wszedł do zdemolowanej kawalerki.

- Cześć pracy - powiedział grzmiącym basem, dziwnie

niepasującym do tej wiotkiej postaci. - Widzę, że koledzy cośkolwiek rozbebeszyli lokalik. Podobno, Jasiu, masz dla mnie coś interesującego.

Kozera w krótkich słowach streścił całą historię i, nie wdając się na razie w szczegóły, podał majorowi plastikową torbę.

- To znaleźliśmy pod posadzką.

Major usiadł na stosunkowo najmniej zniszczonym fotelu, poprawił na nosie okulary i zabrał się do lektury. Kiedy skończył, pogładził dłonią resztki bujnej kiedyś, być może, czupryny i powiedział:

- Różne już rzeczy w życiu widziałem, ale żeby krawiec zajmował się szpiegostwem, z tym się nie spotkałem. Czy zauważyłeś, Jasiu, te dziurki?

- Dziurki? - zdumiał się Kozera. - Jakie dziurki?

- Przyjrzyj się uważnie pod światło tym papierom. Widzisz te maleńkie dziureczki?

- Rzeczywiście - przytaknął Kozera. - Nie zauważyłem tego. Tak jakby ktoś ponakłuwał szpilką.

- O właśnie - podchwycił major. - Szpilką albo igłą.

A kto używa igły?

- Krawiec! - wykrzyknął Kozera. - Do diabła! Że też ja na to nie wpadłem.

- Czasem się wpadnie, a czasem się nie wpadnie - powiedział sentencjonalnie major Stachurski, drapiąc się w czubek nosa. - Różnie w życiu bywa. Więc powiadasz, Jasiu, że ten Bednarski pracował w spółdzielni?

- Tak, w spółdzielni krawieckiej.

- I że od pewnego czasu zaczęło mu się bardzo dobrze powodzić materialnie?

- Wszystko na to wskazuje.

- A od kiedy mniej więcej datuje się ta jego prosperity?

- Od jesieni zeszłego roku.

- Hm... Od jesieni zeszłego roku, powiadasz - major wstał i przeszedł się po pokoju, objając się o porozstawiane meble. Zatrzymał się przed Kozerą i przez chwilę milczał, kołysząc się na swych bocianich nogach. - Miałbym, Jasiu, pewną propozycję.

- Słucham uważnie.  
- Ty zapewne już nawiązałeś kontakt z tą spółdzielnią krawiecką.  
- Oczywiście. Od tego zacząłem.  
- Wobec tego byłoby chyba lepiej, żebyś to ty kontynuował te rozmowy.

- Bardzo chętnie - zgodził się skwapliwie Kozera. - Tylko że nie wiem, o czym mam z nimi rozmawiać.

Major wrócił na fotel i odchrząknął.

- Sądzę, że dobrze by było, żeby się mniej więcej zorientować jakie prace w spółdzielni wykonywał Kazimierz Bednarski jesienią zeszłego roku. Na początek weźmy trzy miesiące: wrzesień, październik, listopad. Co ty na to, Jasiu?

- Uważam myśl za niezmiernie konstruktywną - uśmiechnął się Kozera.

Kierownik Siewicki kręcił się niespokojnie na krześle. Najwidoczniej niespodziewana wizyta oficera milicji nie bardzo była mu w danej chwili na rękę. Sądził, że sprawa Bednarskiego została już wyczerpująco omówiona i nie widział powodu, żeby wracać do tego tematu. Niekontrolowanymi ruchami dotykał to wydatnego brzucha, to wąsów, które starannie przyglądał.

- Dlaczego jest pan zdenerwowany? - spytał Kozera.

- Zdenerwowany? Ja? - udał zdziwienie kierownik krawieckiej spółdzielni. - Nic podobnego. Dlaczego miałbym być zdenerwowany? Zdaje się panu, panie poruczniku.

- Przecież widzę.

- Nie wiem. Nie czuję zdenerwowania. Może ta pogoda tam na mnie działa. Strasznie dzisiaj parno.

- Rzeczywiście duszno - przyznał Kozera. - Pan prowadzi książki zamówień?

- Rzecz jasna, panie poruczniku. Jakże by inaczej. Wszystkie książki mam w najzupełniejszym porządku.

- A zeszły rok można sprawdzić?

- Oczywiście. A może mi pan powie o co się właściwie rozchodzi. Wyjaśnię. W każdej chwili wyjaśnię.

Kozera uśmiechnął się. Nie miał wątpliwości, że kierownik Siewicki ma tam coś na sumieniu, ale w danej chwili go to nie

interesowało.

- Widzi pan, panie Siewicki, chciałbym sprawdzić jakie prace wykonywał w spółdzielni Bednarski w zeszłym roku w miesiącach wrzesień, październik, listopad.

- Jakie prace - powtórzył Siewicki, oddychając z widoczną ulgą.

- Właśnie. Jakie w tym okresie zlecił mu pan prace do wykonania?

Siewicki podrapał się za uchem. Początkowe jego zdenerwowanie zniknęło bez śladu.

- To nie takie proste, bo ja nie prowadzę ewidencji, co któremu pracownikowi zlecam do wykonania. W książkach są zapisywane tylko zlecenia klientów.

- No, trudno - westchnął Kozera. - Przejrzę te książki.

Ma pan je tutaj gdzieś pod ręką?

- Musiałbym poszukać. To są zeszłoroczne książki.

- Niech pan poszuka.

Książki się znalazły. Kozera zatelefonował do majora Stachurskiego, który przyjechał do spółdzielni, żeby pomóc w poszukiwaniach.

Pracowali kilka godzin. Wreszcie natrafili na coś interesującego. Dnia dwunastego września Emilia Lowertowa oddała do reperacji męski garnitur.

Siewicki zaprosił ich do ciasnego kantorku, mieszczącego się za pracownią. Major Stachurski przejął inicjatywę.

- Czy przypomina pan sobie to zlecenie?

Kierownik spółdzielni kiwnął głową.

- Tak. Przypominam sobie, bo to była kraksa.

- Kraksa? Jaka kraksa?

- Mąż tej pani zderzył się z jakimś wozem, zdaje się, że gdzieś na Saskiej Kępie. Dokładnie nie pamiętam. To będzie wiedziała ta pani.

- W książce jest zanotowane, że pęknięcie szwów w marynarce i podarte spodnie.

- Pewnie tak było - powiedział, kręcąc głową Siewicki.

- Dokładnie sobie nie przypominam, ale jeżeli zapisane...

- Kto odbierał garnitur?

- Ta pani. Jej mąż był w szpitalu. O ile sobie przypominam,

to mówiła, że nic groźnego, ale musiał poleżeć. Kraksa to kraksa. Całe szczęście, że się nie zabił.

- Czy pan pamięta komu dał pan do roboty ten garnitur? - spytał major.

Siewicki wzruszył ramionami.

- Teraz? Po tylu miesiącach... Trudno mi sobie przypomnieć.

- Może zlecił to pan Bednarskiemu? - wtrącił się Kozera. Znowu wzruszenie ramion.

- Może...

- Musimy to ustalić. To ważne - nastawał major. - Niech pan spróbuje wypytać swoich pracowników. Może który z nich pamięta.

Wiśniewski pamiętał.

Jasne. Kazik dostał tę robotę. Jeszcze mi pokazywał ten angielski materiał. To był bardzo elegancki garnitur. Rzadko się teraz takie widuje. Bo nawet jak ktoś od nas jedzie za granicę, to oszczędza walutę. Takich luksusowych ciuchów nikt nie kupuje, a jeżeli kupuje to na sprzedaż, do komisju.

- Czy pan jest pewien, że to Bednarski reperował to ubranie? - spytał major Stachurski.

- Jak najbardziej jestem pewien. Takie rzeczy się pamięta. Po pierwsze kraksa, po drugie ten angielski materiał, po trzecie ta ładna babeczka...

- O kim pan mówi?

- No o tej, co przyniosła ten garnitur do reperacji. Pierwszorzędna. A jaka szykowna. Wszystko na niej zagraniczne, nawet i torba z krokodyla.

- Poznałby pan tę panią?

- Co za pytanie? Pewnie, że bym poznał. Takich kobiet tak prędko się nie zapomina.

Kapitan Jastrzębiec z Komendy Drogowej był niezwykle uprzejmy. Posadził swoich gości na wygodnych fotelikach przy małym stolczku i kazał podać kawę.

- Podobno kofeina na taki upał bardzo dobrze robi - powiedział z uśmiechem. - Podnosi ciśnienie. Czym mogę służyć?

Major Stachurski powiedział o co chodzi i prosił o możliwie

szybką odpowiedź w tej sprawie.

Jastrzębiec zmarszczył brwi, jakby chciał pobudzić do żywszej działalności swą pamięć.

- Lowert? Kraksa? Zaraz... zaraz... Coś sobie przypominam jak przez mgłę... Sprawdzimy. - Pobiegnął do telefonu i połączył się z archiwum.

Po stosunkowo niedługim czasie weszła fertyczna blondynka, niosąc teczkę z aktami.

- Proszę, kapitanie. To ta sprawa.

Jastrzębiec przejrzał papiery.

- Tak, tak, zgadza się. Edward Lowert dziesiątego września ubiegłego roku jechał mercedesem. Zderzył się na Francuskiej z fiatem 125p, prowadzonym przez niejakiego Klemensa Sobczyńskiego. Wina była Sobczyńskiego. Wymusił pierwszeństwo, a Lowert jechał dosyć ostro. Zdarzenie miało miejsce o godzinie osiemnastej.

Stachurski wyciągnął rękę.

- Chciałbym na to rzucić okiem.

- Proszę uprzejmie.

Major bardzo dokładnie przeczytał wszystkie protokoły oraz załączniki i położył teczkę na stoliku.

- Dziękujemy, kapitanie. To jest właśnie to, o co nam chodziło.

Następnie Stachurski zabrał swojego młodszego kolegę do siebie na Rakowiecką. Usadził porucznika w głębokim fotelu i zapalił papierosa.

- O nie, nie - zaprotestował Kozera. - Tu za wygodnie. Zaraz bym zasnął. - Wstał z fotela i przeniósł się na krzesło.

- Taki jesteś niedospany? - uśmiechnął się major.

Usiadł za biurkiem, wyjął z kieszeni notatki i rozprostował je. - No i cóż ty, Jasiu, myślisz o tej całej historii?

- Identycznie to samo, co obywatel major- odpowiedział Kozera.

Stachurski pogroził mu swym długim, suchym palcem.

- No, no... nie bądź taki cwany i nie próbuj mi się podlizywać. A więc mamy do czynienia z szantażem.

- Wszystko na to wskazuje - przytaknął Kozera. - Czy zatrzymujemy Lowerta?

Major pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Za wcześnie. Po pierwsze nie mamy właściwie materiału dowodowego, a po drugie w tej sytuacji nie należy spłoszyć faceta. Nie ucieknie nam, a będąc na wolności może dopomóc do rozpracowaniu całej organizacji. Nie ulega wątpliwości, że nie działał sam.

- A jeżeli pryśnie?

Stachurski uśmiechnął się.

- Nie bój się. Nie pryśnie. Nie ma wątpliwości. Zresztą my go przypilnujemy. W najbliższym czasie jest chyba jedna rzecz do zrobienia. Trzeba mocniej przycisnąć tego Habnera. Sądzę, że powinien już zacząć mówić.

- Już ja się tym zajmę - zapewnił Kozera. - Facet miał dosyć czasu, żeby się zastanowić nad swoją sytuacją. Jestem przekonany, że pęknie.

- Aha... i jeszcze jedna sprawa - przypomniał sobie major. - Musimy koniecznie sprawdzić konta bankowe Lo-werta i Bednarskiego. To nam może w pewien sposób naświetlić sprawę.

Kozera siedział zamyślony i przyglądał się swoim niezbyt starannie wyczyszczonym butom.

- Nad czym tak dumasz, Jasiu? - spytał major.

- Zastanawiam się, czy nasza hipoteza z tym szantażem ma ręce i nogi. A może Bednarski sam dał się zwerbować?

Stachurski pokręcił głową.

- To mało prawdopodobne. Po pierwsze nie trzymałby tych wszystkich materiałów pod posadzką, bo musiałyby z nich korzystać, a po drugie, gdyby prowadził akcję szpiegowską, to bądź pewien, że policja zachodnio-niemiecka nie zawiadomiłaby nas, że Bednarski ma powiązania z handlarzami narkotyków. Nie chcieliby przecież na niego zwracać uwagi.

- To jest argument bardzo przekonujący - zgodził się Kozera. - Ciekawe, jaki był powód zamordowania Bednarskiego?

- W danym momencie możemy snuć jedynie przypuszczenia. Albo naraził się handlarzom narkotykami, albo Lowert nie wytrzymał nerwowo.

- A Mariola Nasielska?

- Nie wymagaj, Jasiu, ode mnie za wiele. Nie jestem jasnowidzem. Wygląda na to, że ta dziewczyna była kochanką albo może tylko współniczką Bednarskiego, a następnie spodobała jej się willa Habnera w Sopocie i zmieniła zainteresowania.

- A kto ją zlikwidował?

Major uśmiechnął się.

Widzę, że mimo wszystko, wierzysz w moje jasnowidz-two. Sądzę, że zabił ją ktoś, kto się obawiał, że śledztwo w sprawie Bednarskiego może o nią zahaczyć i że wtedy ona zacznie sypać.

Kozera spojrzał z uznaniem na majora.

- Przyznaję, że nie przyszło mi to do głowy.

- Kiedy byłem w twoim wieku wiele rzeczy nie przychodziło mi do głowy - uśmiechnął się major. - Ale to tak na marginesie. Wracając do naszych spraw sądzą, że zrobimy użytek z tego szyfru wyciągniętego spod posadzki. Nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby Lowert, jeżeli oczywiście to o niego chodzi, pochwalił się przed swoimi mocodawcami, że wszystkie te dokumenty wpadły w niepowołane ręce. Poza tym szyfr mógł znać na pamięć, a wiedział, że Bednarski nie zrobi z niego użytku. Można zaryzykować. Czy materiał daktyloskopijny zebrano w willi Habnera?

- Oczywiście. Bardzo szczegółowo.

- Głównie chodzi o drzwi wejściowe i o okiennice.

- Wiem. Rosicki niczego nie zaniedbał.

- To dobrze. A wóz Habnera?

- Dokładnie zbadany. Wszystkie linie papilarne zdjęte starannie. Czy zażądamy wydania tego garnituru Lowerta? Major pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Nie możemy go przecież spłoszyć. To załatwimy w ostatniej chwili. Obecnie na tapecie mamy Habnera. Przypuszczam, że do tego czasu już „skruszał”.

- Czy ja mam go przesłuchać? - spytał Kozera.

- Zrobimy to razem. Co dwie głowy, to nie jedna. Przypuszczenia majora okazały się słuszne. Habner



rzeczywiście „skruszał”. W tymczasowym areszcie miał dużo czasu do myślenia i doszedł do wniosku, że za wszelką cenę musi uniknąć oskarżenia o popełnienie morderstwa.

- Czy pan jest skłonny szczerze z nami porozmawiać? - spytał Kozera.

- Oczywiście panie poruczniku - odparł skwapliwie Habner.

- Odpowiem na wszystkie pańskie pytania. Będę mówił najszczerzą prawdę. Pragnę, żeby mi pan uwierzył, że ja nie zamordowałem Marioli. Przecież...

- Na ten temat porozmawiamy później - przerwał Kozera. - Na razie może nam pan powie jak to było z tymi narkotykami?

- Wrobili mnie, panie poruczniku. Po świńsku mnie wrobili. Za pierwszym razem w ogóle się nie orientowałem o jaki towar chodzi, a potem szantażowali mnie, zmuszali, grozili.

Kozera skrzywił się.

- Niech się pan nie wysila na obmyślanie legend. Zdaje pan sobie chyba sprawę, że my nie uwierzemy w tego rodzaju opowieści. Proszę nam powiedzieć, czy współpracował pan z Kazimierzem Bednarskim?

- Tak, ale krótko. Zrezygnował. Skontaktował mnie z nim jego brat Ludwik zamieszkały w Berlinie Zachodnim.

- A Edward Lowert?

Habner zawahał się. Widać było, że to pytanie go zaskoczyło.

- A Edward Lowert? - powtórzył z naciskiem Kozera.

- Także z nami współpracował - padła niechętna odpowiedź.

- Ale również się wycofał.

- Czy Kazimierz Bednarski zrezygnował z handlu narkotykami w tym samym czasie co Edward Lowert? - spytał major Stachurski.

Habner przesunął dłonią po czole.

- Zaraz... zaraz, niech chwilę pomyślę. Tak. Bednarski zrezygnował chyba w tym samym czasie co i Lowert. Tak mi się zdaje. Bednarski w ogóle bardzo krótko...

- Może pan nam teraz coś opowie o Marioli Nasielskiej

- zaproponował Kozera.

Habner skinął głową.

- Bardzo chętnie, panie poruczniku. Co pana interesuje?
- Gdzie pan poznał tę dziewczynę?
- W Berlinie Zachodnim, u Ludwika Bednarskiego.
- Podobała się panu?
- Bardzo. To była śliczna dziewczyna.
- Jaki był jej stosunek do Kazimierza Bednarskiego?
- Obdarzała go sympatią... przyjaźnią.
- Czy żyła z nim?

Habner uśmiechnął się niewyraźnie.

- Rozumie pan, panie poruczniku, że trochę trudno mi na to odpowiedzieć. Ale nie sądzę, żeby Mariola żyła z Kazikiem.

On, jeśli w grę wchodził jakiś bliższy stosunek z kobietą, to nie tego. Robił sobie co prawda reklamę Don Juana, ale były to tylko pozory. Zresztą w tej chwili to chyba niezbyt ważne.

- Ma pan rację. Niezbyt ważne - przyznał Kozera.  
- Kto jeździł pańskim wozem? - wtrącił się do rozmowy major.

- Moim wozem jeździłem ja i czasami moja żona.

- I nikt więcej?

- Nie. Nie mam zwyczaju pożyczać wozu.

- A panu Lowertowi pan nie pożyczał?

- Nie. Nigdy. Jest nienajlepszym kierowcą. Zresztą ma swój wóz. Nie potrzebuje pożyczać.

Major zapalił papierosa i przez chwilę obracał w palcach wypaloną zapałkę.

- Jakie jest pańskie zdanie w sprawie zamordowanego Kazimierza Bednarskiego?

Habner spojrzał zaskoczony. W jego oczach malował się niepokój.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, kto mógł go zabić.

- Bo widzi pan - ciągnął z niezmałonym spokojem major. - Sprawa jest dosyć skomplikowana. Doszliśmy do wniosku, że te dwa zabójstwa mają ze sobą jakiś związek. Ktoś zlikwidował Bednarskiego, a następnie zaczął się bać, że śledztwo może zahaczyć o Mariolę Nasielską, która zacznie sypać. Nie była to przecież dziewczyna zbyt odporna psychicznie.

Habner chwycił się za głowę.

- Rany boskie! Oskarżacie mnie o to, że zamordowałem Bednarskiego i Mariolę?!

Major posunął po blacie biurka karafkę z wodą i szklanekę.

- Niech się pan napije trochę wody i niech się pan nie denerwuje - powiedział łagodnie. - Na razie o nic pana nie oskarżamy. Śledztwo jest w toku. Musimy pewne rzeczy wyjaśnić. Liczymy na pańską pomoc.

Habner wypił całą szklanekę wody i odetchnął głęboko.

- Cóż ja, proszę panów? Cóż ja? Ja nic nie wiem.

- Może pan spróbuje stworzyć sobie jakąś teorię w sprawie zamordowania Marioli Nasielskiej - zaproponował major.

- Ja tego nie zrobiłem. Ja jej nie zamordowałem. Przysięgam.

- To wobec tego kto? Jak pan sądzi?

Habner pomyślał chwilę.

- To co pan powiedział wydaje mi się przekonujące - głos jego zabrzmiał już spokojniej.

- A mianowicie?

- No... że ktoś się bał, że śledztwo w sprawie zamordowania Bednarskiego może zahaczyć o Mariolę, a ona była w różne sprawy wtajemniczona.

- Kogo pan podejrzewa? - nastawał major.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia.

- A może Edward Lowert?

Habner energicznie zamachał rękami.

- Nie chcę na nikogo rzucać podejrzeń! Nie chcę! Nie mogę...

Major pokręcił głową z dezaprobatą.

- Jest pan człowiekiem bardzo nieopanowanym, panie Habner. O takich sprawach należy rozmawiać spokojnie. Zastanówmy się chwilę. Do tej pory wiemy, że handlem narkotykami zajmowali się: Bednarski, pan, Mariola Nasielska i Edward Lowert. Bednarski został zamordowany, Mariola Nasielska również. Pozostaje więc nam pan i Lowert, jeżeli oczywiście jeszcze inne osoby, o których my nie wiemy, nie brały udziału w tej aferze. Sprawa zabójstwa Marioli

Nasielskiej wygląda o tyle dziwnie, że szereg szczegółów wskazuje na to, że ktoś usiłował za wszelką cenę rzucić podejrzenie na pana.

- O właśnie - pochwycił z ożywieniem Habner. - Ktoś starał się rzucić na mnie podejrzenie. Mnie również przychodziło to na myśl.

- A nie przyszło panu na myśl, że to może Lowert?

Habner potrząsnął głową.

- Nie, nie. Nie mogę nikogo oskarżać. Nie chcę. Nie mam pewności.

- Mariola Nasielska była pańską przyjaciółką - powiedział major.

- Tak.

- Czy była panu wierna?

Habner wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. No cóż... Z kobietami to nigdy nie wiadomo.

- A czy nie podejrzewał pan jej, że flirtuje z Lowertem?

- Przyznam się, że w pewnym momencie tak mi się wydawało - powiedział cicho Habner i odwrócił głowę. Najwidoczniej ten temat sprawiał mu dużą przykrość.

- Pan zazwyczaj przyjeżdżał do Sopotu na parę dni, a po pańskim wyjeździe Mariola Nasielska mogła spotykać się z Lowertem.

- Mogła - przytaknął Habner. - Edward ma ogromne powodzenie u kobiet. Nie mam pojęcia, co one w nim widzą.

- Zdaje się, że pan Lowert romansuje także z pańską żoną.

Habner zachnął się.

- To mnie zupełnie nie interesuje. Moja żona może sobie romansować z kim jej się żywnie podoba. Od dawna już żyjemy w separacji i mamy oboje zupełnie wolną rękę. Major zwrócił się do Kozery.

- Masz jeszcze jakieś pytania?

Porucznik potrząsnął głową.

- Nie. Dziękuję.

- Siadaj, Jasiu. Dobrze, że przyszedłeś.

- Jest coś nowego? - spytał Kozera.

Major otworzył teczkę z aktami.

- Chyba tak. To wszystko zaczyna powoli się klarować. Otrzymałem przed chwilą wyciąg z kont bankowych. Od października zeszłego roku Lowert przelewał znaczne sumy ze swojego konta na konto Bednarskiego.

- A więc jednak szantaż.

- Wszystko na to wskazuje. Zgadzą się również daty podróży zagranicznych Lowerta. Był w Niemczech Zachodnich w sprawach służbowych. Tam go zwerbowali.

Kozera pokiwał głową.

- Najwidoczniej uznał, że to lepszy interes aniżeli handel narkotykami.

- Mam wrażenie, że się mylisz - powiedział major. - Lowert na pewno nie zrezygnował z kontaktów z handlarzami narkotyków. Nie mógł tego zrobić. To byłoby zbyt niebezpieczne. Ci ludzie zazwyczaj likwidują tych, którzy z nimi zrywają i mogą stać się zagrożeniem. Ja tutaj widzę inną ewentualność. Niewykluczone, że właśnie ci jego wspólnicy od narkotyków nakłonili go do działalności szpiegowskiej. W takiej sytuacji szantaż nie jest trudny. Tak czy inaczej zwerbowali go do tej roboty. Otrzymał odpowiednie materiały, które ulokował pod podszewką marynarki.

- Ale że ich nie wyjął? - zdziwił się Kozera.

- Prawdopodobnie nie zdążył. Zaraz po powrocie do Warszawy miał tę krakę. Troskliwa małżonka oddała ubranie do spółdzielni krawieckiej. Bednarski znalazł pod podszewką marynarki te papiery, zorientował się i zaczął szantażować. Lowert przez jakiś czas płacił, aż wreszcie postanowił z tym skończyć. Nie chciał przez resztę życia być zależnym od Bednarskiego. Umówił się z szantażystą w jakiejś kawiarni i...

- Sekcja wykazała alkohol i sporą dawkę środka nasennego - wtrącił Kozera.

Major skinął głową.

- Właśnie. Wypili po koniaku albo po dwa, Bednarski wyszedł po papierosy czy do toalety, a Lowert wsypał do jego kawy porcję jakiegoś proszku na dobre spanie. Następnie wsadził oszołomionego krawca do samochodu i zawiózł go do Puszczy Kampinoskiej. Zapewne nie przypuszczał, że ktoś tak

szybko odkryje zwłoki.

- To się trzyma kupy - powiedział Kozera. - Jaki dalszy plan działania?

Ptasia twarz majora wyrażała głęboką zadumę. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- No cóż... Spróbujmy z tym szyfrem. Może się uda. Nie jest to takie stuprocentowo pewne, ale...

Udało się.

Lowert otrzymał zaszyfowaną wiadomość: „Jesteś spalony. Musisz natychmiast likwidować się z terenu...”

W dalszym ciągu następowała szczegółowa instrukcja wraz z dokładnym określeniem czasu i miejsca. Wszystko było opracowane z pedantyczną drobiazgowością. Zatrzymali wóz daleko od morza. Noc była bezgwiezdna. Zachodni wiatr napędzał zwały ciężkich, skłębionych chmur.

Szedł spieszenie przez wydmy, grzęznąc głęboko w piasku i potykając się o kamienie. Marzył o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się poza pasem granicznym.

Szum fal stawał się coraz bliższy, coraz bardziej realny.

I wreszcie brzeg.

Nogą dotknął wody i odetchnął z ulgą. Odnalazł ukryty w krzakach ponton. Napompował go i pociągnął ku morzu. Czekał.

Czas dłużył mu się w nieskończoność. Wydawało mu się, że mijają długie godziny. Chwilami ogarniało go przerażenie, że może źle zrozumiał, że może to nie tutaj. Pot wystąpił mu na czoło. Czuł przyśpieszone bicie serca. I nareszcie dalekie, małe światełko. Jeden, drugi, trzeci błysk. Umówiony sygnał. Tak był podniecony, że nie przyszło mu na myśl, że przecież ci ze straży przybrzeżnej byliby spostrzegli tę świetlną sygnalizację. Chęć ucieczki była tak silna, że paraliżowała zdolność trzeźwego rozumowania. Podwodna łódź rysowała się ciemnym kształtem na powierzchni morza. Wyciągnięte ręce pomagały mu wspiąć się na pokład. Zaraz potem do włazu.

Zdenerwowanie powoli zaczynało z niego opadać. Oddychał swobodniej. Nareszcie wolność, spokój, bezpieczeństwo. Czuł się szczęśliwy. Aż nagle...

- Dobry wieczór, panie inżynierze.

Odwrócił się gwałtownie. Przed nim stał kapitan Rosicki, a przy nim jakiś wysoki, bardzo chudy mężczyzna. Lowert raz po raz zwilżał językiem spierzchnięte wargi. Zdawał sobie sprawę, że jego sytuacja jest beznadziejna i że w żaden sposób nie zdoła wymyślić przekonującej wersji tego co się stało. Paskudnie, głupio wpadł i sprawa była nieodwracalna.

Major Stachurski milczał dłuższą chwilę, obserwując uważnie twarz siedzącego po drugiej stronie biurka człowieka.

- Co do pańskiej szpiegowskiej działalności sprawa jest jasna i nie wymaga komentarzy. Później porozmawiamy o szczegółach. Nie wątpię, że będzie pan mógł nam dostarczyć wiele interesujących informacji na temat działalności obcego wywiadu na naszym terenie.

Lowert milczał.

- Nie dziwię się, że ta rozmowa nie sprawia panu przyjemności - ciągnął dalej łagodnym głosem major Stachurski. - Jak wspominałem, o sprawie pańskiej współpracy z obcym wywiadem pomówimy obszerniej innym razem. W tej chwili chcielibyśmy ustalić pewne podstawowe fakty. Czy przyznaje się pan do zamordowania Kazimierza Bednarskiego?

- Nikogo nie zamordowałem.

- Kiedy ostatni raz był pan w Puszczy Kampinoskiej? - wtrącił się do rozmowy Kozera.

Lowert wzruszył ramionami.

- Nigdy nie byłem w Puszczy Kampinoskiej.

- Czy być może? Jak to się w takim razie stało, że w pobliżu miejsca, w którym znaleźliśmy zwłoki Kazimierza Bednarskiego, opony pańskiego samochodu pozostawiły w glinie bardzo wyraźny ślad bieżnika.

Lowert zmieształ się.

- Nie wiem. Nie rozumiem. Może ktoś pożyczył sobie mój wóz.

Major chrząknął. Postanowił znowu przejąć inicjatywę.

- Proponuję, żeby pan zrezygnował z tych wszystkich wykrętów. To się przecież na nic nie zda. Szkoda naszego i pańskiego czasu. Wiemy, że postanowił pan zlikwidować Bednarskiego, ponieważ on panu zagrażał. Znalazł pod

podszewką pańskiej marynarki materiały szpiegowskie i zaczął pana szantażować. Sprawdziliśmy pańskie konta i konta Bednarskiego. Przelewy się zgadzają. Niech nam pan powie, jak to było z tymi spodniami?

- Z jakimi spodniami? - udał zdziwionego Lowert.

- Przecież prosił pan Bednarskiego, żeby panu uszył spodnie. Dlatego Bednarski zabrał z pracowni nożyce, którymi pan go zabił. Chodziło o to, żeby o tę zbrodnię był podejrzany któryś z krawców, pracujących w spółdzielni. Fałszywy trop. Sprytnie pan to obmyślił.

Lowert odwrócił głowę i zapatrzył się w okno.

- A jak to było z Mariolą Nasielską? - spytał major.

Lowert nie odpowiedział. W dalszym ciągu patrzył w okno. Najwidoczniej zrezygnował z obrony.

Major odczekał chwilę i zapalił papierosa.

- Nie chce pan mówić. To może ja opowiem panu tę smutną historię. Swego czasu handlował pan narkotykami z Bednarskim, Habnerem i z Mariolą Nasielską. Nasielska utrzymywała bliski kontakt z Bednarskim. Nie mógł pan mieć pewności, czy nie dowiedziała się od niego o tych materiałach szpiegowskich, znalezionych w pańskiej marynarce. Stanowiła dla pana duże zagrożenie. Lepiej było ją zlikwidować.

- Ja jej nie zabiłem.

- Czy mogę coś powiedzieć? - spytał kapitan Rosicki, który także asystował przy tym przesłuchaniu.

Major skinął głową.

- Oczywiście. Proszę bardzo.

- Czy pan, panie Lowert, często odwiedzał pana Habnera w jego willi w Sopocie? - spytał Rosicki.

- Nigdy tam nie byłem.

- Dziwne. Znaleźliśmy bardzo wyraźne odciski pańskich linii papilarnych przy drzwiach wejściowych i na okiennicach. A czy pan jeździł wozem pana Habnera?

- Nie, mam własny wóz.

- To także interesujące. Niech pan sobie wyobrazi, że w wozie pana Habnera również znaleźliśmy odciski pańskich palców, koło kieszeni na prawych, przednich drzwiach. A czy



zaglądał pan do walizki pani Habnerowej?

- Skądże znowu. Dlaczegoż miałbym...?

Rosicki rozłożył ręce.

- Przedziwna sprawa. Proszę sobie wyobrazić, że na walizce, w której pani Habnerowa trzymała klucze od willi, także zostawił pan odciski swoich palców. Z tego można wnioskować, że wykradł pan klucze od willi i od wozu, a następnie podrzucił pan klucze od willi w wozie Habnera, chcąc skierować na niego podejrzenie. Chciał pan utwierdzić nas w przekonaniu, że Habner zamordował Mariolę Nasielską, zamknął willę, zabrał klucze i odjechał.

- Z tego widać, że lekceważy pan daktyloskopię - uśmiechnął się major.

- Chciałbym jeszcze dodać - wtrącił się Kozera - że sprawdziliśmy pańską maszynę do pisania. To na niej napisał pan list adresowany do Bednarskiego „Ty draniu! Niech ci się nie zdaje, że ze mną tak można. Pamiętaj, że nie jestem sama. Uważaj, bo możesz źle skończyć. Mariola”. Kozera złożył kartkę papieru i spojrzał na Lowerta - „Jeszcze jeden fałszywy trop, na który chciał nas pan naprowadzić. Sądził pan, że zaczniemy podejrzewać, że to Habner zamordował Bednarskiego. To było dosyć naiwne posunięcie. A swoją drogą trochę się dziwię, że Mariola Nasielska dała się panu wtedy namówić na kąpiel w morzu w nocy.

- To nie są zbyt istotne szczegóły - przerwał major. - Czy może chciałby pan coś powiedzieć?

Lowert milczał. Znowu zwrócił wzrok ku oknu.

- Jeśli nie ma pan nic do powiedzenia, to chyba na razie skończymy tę rozmowę.

Po wyjściu Lowerta zapanowało milczenie. Pierwszy odezwał się major.

- No i cóż, koledzy? Nie pozostaje mi nic innego, jak podziękować wam za solidną robotę. To nie było łatwe.

- Nie mogę sobie darować, że nie zauważyłem tych śladów po igle - powiedział Kozera.

Major machnął ręką.

- Nie przejmuj się, Jasiu. Jeszcze niejedną rzecz w życiu

przeocysz. Najważniejsze, żeby nie przeoczyć samego życia. A czy wiecie co zgubiło Lowerta?

- Co? - spytali zgodnym chórem.
- Słabość do płci pięknej - uśmiechnął się major.
- Za dużo kobiet.

KONIEC

# ZA DUZO Kobiet

ZYGMUNT ZEYDLER-ZBOROWSKI



*Koniec*

*Surina Polski*



rok 1986 - nr.122-125